NR 15 (1939) 14 KWIETNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



Kłócimy się o TRUMPA

Proj. Krzysztof Karnkowski

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- KTO CHORUJE, TEN ZA PiS-em
- „SOBIESKI”, „SILESIA”, SOLIDARNOŚĆ

REPUBLIKA

Więcej dyskusji o najważniejszych wydarzenia mijającego tygodnia.
Więcej gości. Więcej konfrontacji dziennikarzy z ekspertami.
Wszystko na żywo. W nowym studiu. I o nowej porze.
Dla Polski. I dla Polaków.



SOBOTA
16:00
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl ec2e027ela



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Donald Trump jest inny. A inność irytuje, przeraża, a nawet zagraża. I dlatego inność jest z całą surowością zwalczana. I dlatego właśnie zwalczany jest Trump. Niezależnie od tego, co powiedział albo czego nie powiedział i co jeszcze powie albo czego nie powie.

Amerykański, europejski czy polski establishment polityczno-medialny nienawidzi Trumpa nienawiścią głęboką, totalną i pewnie nieuleczalną. Ta nienawiść zaczyna się w irytacji. Trump irytuje, bo bez owijania w bawełnę jedzie po wszystkich słabościach prowadzonej przez ów establishment od lat polityki. Podważa ekologizm i wokeizm, a także globalizm, liberalizm, genderyzm, kosmopolityzm, otwarte granice i pacyfizm.

Ale to nie koniec, bo Trump ich także przeraża. Nie zatrzymuje się bowiem na krytyce ucieczki miejsc pracy z Ameryki do Azji czy rozważań o stu pięćdziesięciu płciach. Przeraża, bo proponuje alternatywne ścieżki. Cła i reindustrializację zamiast kolejnych umów o wolnym handlu. Deportacje nielegalnych migrantów z Ameryki zamiast dalszego przymykania oka na to zjawisko. Albo wojnę prewencyjną przeciwko Iranowi w miejsce biernego czekania aż najbardziej wrogie Ameryce państwo na Bliskim Wschodzie zbuduje sobie bombę atomową.

Jest nawet jeszcze gorzej. Trump zagraża, bo podejmuje kroki w celu zmiany status quo. I on te cła wprowadza, dając szansę amerykańskiej produkcji przemysłowej na odrośnięcie, realizuje swoje geostrategiczne cele w Wenezueli czy Iranie i nie czeka biernie, aż go liberalne media i elity opiniotwórcze zadziobią, tylko robi im konkurencję w mediach społecznościowych albo obcina publiczne finansowanie liberalnym think tankom czy uniwersytetom, które od dawna nie próbują nawet ukrywać swojej skrajnej stronniczości.

Dlatego Trump musi zostać zniszczony. I tak było przecież od początku. Odrzucenie Trumpa jest totalne. Żadnej normalizacji. Żadnej próby zrozumienia jego argumentów. Przeciwnie. Trump od 2016 roku przedstawiany jest przez swoich wrogów jako kretyn, półgłówek, bufon, narcyz, szaleniec, satrapa, przestępca seksualny i oszust. Tu nie ma miejsca na żadne odcienie szarości. Tu nie może być nawet pół jasnego tonu. Albo my jego, albo on nas.

Ale jest też haczyk. Zwalczając Trumpa w tak totalny i konsekwentny sposób, jego przeciwnicy musieli się odsłonić. Pokazać, że nie zależy im na żadnej dyskusji, na żadnych argumentach i na żadnej prawdzie. Walcząc z Trumpem, liberalny establishment już dawno zamienił się w swoją własną karykaturę. Nikt już nawet nie pamięta, kiedy te wszystkie piękne zasady liberalnej demokracji, w obronie których trumpofobi tak dzielnie od lat walczą, poszły sobie do kosza na śmieci. Albo i gorzej.

Ta furia, z jaką liberalny establishment zwalcza Trumpa, jest oczywiście jego wielką siłą. Przyciąga do niego tych wszystkich, którzy marzyli o świecie bez liberalnego monopolu na prawdę i władzę. A może już nawet pogodzili się z myślą, że w liberalnej demokracji wybory nie mogą nic zmienić. Bo gdyby mogły, to by dawno były zakazane.

Zwalczając Trumpa w tak totalny i konsekwentny sposób, jego przeciwnicy musieli się odsłonić. Pokazać, że nie zależy im na żadnej dyskusji, na żadnych argumentach i na żadnej prawdzie.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że owładnięci trumpofobią nigdy nie przyjmą tego do wiadomości. Ich odrzucenie jest przecież totalne. Nie może być w nim żadnych wyłomów. U nich wyrok już zapadł i nie ma wobec niego apelacji. I ja też nikogo przekonywać nie zamierzam. Proszę tylko o jedno. Miejcie świadomość, jak wielka, bogata, wszędobylska i efektywna jest machina antytrumpowej nienawiści. I zapytajcie samych siebie raz na jakiś czas – czy faktycznie jesteście od niej całkiem niezależni? S

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl ec2e027efa

14.04.2026
WYDANIE Nr
15

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Kłócimy się o Trumpa



6 **Bardzo mi przykro, ale Trump znów wygrał**

10 **Supeł żydocentryzmu**

14 **Biuro Wiary i Wojny**

18 **Razem, ale czasem osobno**

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności,
ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327,
80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”:

Pojedynki Pana Cogito. Rozmowa ze Z. Herbertem 22

KRAJ

Koalicja albo zdrowie 28
Partia osobliwości 32
Kongres Pracy w Gdańsku – cztery debaty o przyszłości pracowników i gospodarki 36

ZAGRANICA

„Anywhere but Westminster”. Wielka Brytania oglądana z boku 42

SPOŁECZEŃSTWO

Wojna o świat(opogląd) 46

KULTURA

Nie mam ciśnienia. Rozmowa z B. Kioną 50
Debiut Bolesława Leśmiana 54
Kult ciała, hart ducha i zjednoczenie z przeszłością 58

RELIGIA

14 kwietnia – Święto Chrztu Polski 64

ZWIĄZEK

Co w związku 66
„Zakaz wstępu na teren kopalni „Silesia” dla przewodniczącego „S” 68
„Sobieski” gotowy na długie fedrowanie. Rozmowa z D. Piechowiczem 70

FELIETONY:

OKRASKA 13
SKWIECIŃSKI 17
GAC 21

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 26
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 35
ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 38
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 49
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 62
PRAWO 73

eprasa.pl ec2e027efa

NSZZ Solidarność



Fundacja Promocji Solidarności

#idziemyPOwasOszuści

OGÓLNOPOLSKA AKCJA PROTESTACYJNA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

ŻĄDAMY:

- Zahamowania zwolnień grupowych
- Zaprzestania wypowiadania układów zbiorowych pracy i wygaszania praw pracowniczych
- Odrzucenia destrukcyjnej polityki klimatycznej (Zielony Ład, Fit For 55, ETS, ETS2)
- Wsparcia branż kluczowych dla bezpieczeństwa energetycznego i przemysłowego Polski
- Rozsądnego gospodarowania zasobami naturalnymi, prowadzenia sprawdzonej gospodarki leśnej
- Odpowiedzialnej polityki dotyczącej służby zdrowia z poszanowaniem praw pracowników oraz pacjentów
- Kompleksowej reformy edukacji i nauki, wstrzymania chaotycznych zmian w oświacie
- Niezwłocznej i realnej waloryzacji płac w sektorze finansów publicznych
- Przywrócenia realnego dialogu społecznego
- Przywrócenia i przyspieszenia kluczowych inwestycji strategicznych: CPK, elektrownie atomowe, sieci naftowe i gazowe, port w Świnoujściu, żeglowność Odry
- Wstrzymania wdrażania prawa uderzającego w bezpieczeństwo ekonomiczne polskich pracowników i ich rodzin
- Szybkiej rozbudowy polskiej armii z wykorzystaniem polskiego potencjału
- Ochrony polskiego rolnictwa przed skutkami umowy UE - Mercosur i UE - Ukraina
- Zabezpieczenia interesów polskich firm i bezpieczeństwa państwa polskiego po wojnie na Ukrainie

Temat Tygodnia

Bardzo mi przykro, ale Trump ZNÓW WYGRAŁ

Niezależnie od daty jej faktycznego zakończenia wojna z Iranem przejdzie do historii jako **najkrótsza wojna świata**. Werdykty w jej sprawie ogłaszano bowiem na portalu X w kilkadziesiąt sekund po jej rozpoczęciu (a raczej: od momentu, w którym dowiedzieliśmy się o jej rozpoczęciu). Niejeden internauta dowiadywał się o jej wybuchu z tego samego komentarza, który objaśniał mu zarówno jej genezę (Żydzi), jak i ostateczny wynik (wygrał Teheran, zazwyczaj druzgocząco).

Ferdynand Fodder



Amerykanie pochodzenia irańskiego gromadzą się w pobliżu Białego Domu, aby wyrazić poparcie dla ataków militarnych prezydenta USA Donalda Trumpa na reżim irański; Waszyngton, 4 kwietnia br.

Fot. Douliery Olivier/ABACA / Abaca Press / Forum

eprasa.pl ec2e027efa

Pan redaktor Bogusław Chrabota zaczekał z ogłoszeniem przegranej Stanów Zjednoczonych uczciwie, bo do 7 kwietnia br. Wówczas to w „Rzeczpospolitej" ukazał się jego komentarz o tytule „Wojna Donalda Trumpa z Iranem już jest przegrana", w którym podzielił się następującą myślą: „Amerykanie nie mogą wygrać tej wojny, bo nie da się osiągnąć celu, który jest nieokreślony".

Wbrew pozorom cele wojenne bardzo rzadko pozostają niezmienne przez cały okres poważniejszego konfliktu. „Bezwarunkowa kapitulacja" III Rzeszy objawiła się w celach aliantów dopiero w Casablance, w 1943 roku; Abraham Lincoln ogłosił swoją Proklamację Emancypacji dopiero po zwycięstwie Unii pod Antietam, półtora roku po wybuchu wojny secesyjnej. Skoro polityka jest płynna, to i cele jej brzydkiej siostry, wojny, rzadko pozostają wykute w kamieniu. Gdy idzie dobrze, można trochę pofantazjować. Gdy koszty okazują się zbyt wysokie – trzeba redukować oczekiwania. Czasem można nawet ścigać cele, o których nie opowiada się publicznie.

W przeciwieństwie do Donalda Trumpa rozumiem, że tylko czerpanie z diagnoz polskiego komentariatu uchronić może przed porażką. Dlatego właśnie tekst ten trafia w ręce czytelnika z jasno określonym celem: spróbuje on argumentować, że amerykańska interwencja w Iranie nie jest aktem geopolitycznego szaleństwa, jakkolwiek nie potoczą się ostatecznie jej losy.

Dwa poziomy wojny

Gdy w styczniu tego roku amerykańskie siły specjalne przeprowadziły w Caracas operację „Bezwzględna Determinacja", w wyniku której pojmano prezydenta Wenezueli Nicolása Madury, wśród liberalnych komentatorów krążyć zaczęła osobliwa teoria. Na krótko przed rajdem Maduro wystąpił w telewizji, tańcząc do piosenki „No War, Yes Peace", będącej remiksem jednego z jego przemówień. Według „anonimowych źródeł z Białego Domu" to właśnie te wygibasy miały stać za decyzją Donalda Trumpa dotyczącą interwencji. Trump, tłumaczono pokracznie, widzi siebie jako „samca alfa", nie mógł więc na takie szyderstwo zareagować inaczej. Względy geopolityczne miały być tu kwestią trzeciorzędną.

Całe szczęście, że Delcy Rodríguez, następczyni Madury, nie odziedziczyła po swoim poprzedniku tanecznych inklinacji. Dzięki temu udało się odciąć Chiny od blisko 700 tysięcy baryłek wenezuelskiej ropy dziennie. Ropy kupowanej za bezcen, która niemal w całości trafiała do tzw. czajniczków – sieci pomniejszych chińskich rafinerii przerabiających ją na tani olej napędowy i półprodukty dla chińskiej petrochemii.

„Epickiej furii" – operacji irańskiej – nie sprowokowało według komentatorów żadne nagranie, choć decyzję o jej rozpoczęciu tłumaczy się w polskiej infosferze równie kuriozalnie. Przeczytać możemy, że Trump wysłał wojsko, by odwrócić uwagę od afery Epsteina, że walczy na zlecenie izraelskiego lobby albo po prostu – że jest szalony i działa pod wpływem impulsu. Teorii tych nie powielają wyłącznie konta o zerowej liczbie obserwujących, lecz również całkiem poważni dziennikarze.

Izrael walczy w tej wojnie o własne cele, zgodne z polityką regionalną (niezmiennie brutalnego) rządu Binjamina Netanjahu. Dla Stanów Zjednoczonych (i ich sojuszników) nieporównywalnie ważniejszy jest drugi poziom tego starcia: poziom globalny. Chiny absorbują około 80 procent irańskiego eksportu ropy. Do niedawna skutecznie rozgrywały finansowane przez siebie zagrożenie ze strony Teheranu, by wypychać Amerykę z roli gwaranta i mediatora na Bliskim Wschodzie – w centrum ich zainteresowań znajdywały się m.in. Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie.

TRWAJĄCA WCIĄŻ WOJNA W IRANIE POZOSTAJE OBECNIE JEDNYM Z NAJBARDZIEJ JEDNOSTRONNYCH SUKCESÓW MILITARNYCH W HISTORII. DOMINACJA MILITARNA USA W IRANIE JEST BEZSPRZECZNA, NAWET JEŚLI JEST WIDOCZNA WYŁĄCZNIE W DOMENACH POWIETRZNEJ I MORSKIEJ.

Chińskie cele w regionie wykraczają jednocześnie daleko poza kwestie ekonomiczne. Na wypadek konfliktu na Pacyfiku USA bezwzględnie potrzebują pełnej, niezakłóconej mobilności swojej floty między oceanami i w regionie Bliskiego Wschodu. Nie mogą pozwolić sobie na to, by szlaki zaopatrzeniowe zostały odcięte lub stały się podatne na ataki. Jeśli obserwowana obecnie blokada cieśniny Ormuz wydaje się komuś dramatyczna w skutkach, wystarczy wyobrazić sobie, jak wyglądałby ten sam scenariusz w Bab al-Mandab w momencie, w którym trzon amerykańskiej floty zaangażowany byłby w Azji.

eprasa.pl ec2e027efa

Pentagon nie dopuszcza już możliwości prowadzenia samodzielnych operacji na kilku frontach naraz. Zamiast czekać, aż rywal podpali poszczególne regiony w dogodnym dla siebie momencie, Stany Zjednoczone przejmują inicjatywę i narzucają własne tempo. Uderzają właśnie teraz, zanim zamknie się stosowne okno czasowe – gdy przeciwnik nie jest jeszcze gotowy do otwartej konfrontacji. Najsłabsze ogniwa wrogiego układu muszą zostać wyeliminowane, osłabione bądź przejęte, tam, gdzie tylko to możliwe. Jednocześnie nie zamyka to działań dyplomatycznych względem Pekinu. Celem jest jego osłabienie – pozbawienie go aktywów przydatnych zarówno podczas przesilenia, jak i przy stole negocjacyjnym.

Wszystko to powoduje, że sposób, w jaki na wydarzenia w Iranie patrzy spora część komentariatu, obarczona jest błędem. Zakłada on, że powodzenie amerykańskiej strategii sekwencjonowania wymaga bezwarunkowego zwycięstwa, którego miarą musiałaby być zmiana reżimu w Teheranie lub – przynajmniej – mniej lub bardziej widowiskowe ustępstwa polityczne. Oczywiście znacząco by to sprawę ułatwiło – szczególnie politykom. Nie każda struktura posiada jednak swoją Delcy Rodríguez. Tak długo, jak podjęta operacja ograniczy możliwości Chin i ich sojuszników w danym regionie, bez sprowokowania ich do bezpośredniego starcia, Amerykanie będą w stanie uznać ją za swój sukces.

Wielkie zwycięstwo nad Wielkim Szatanem

Teoria o wygranej Iranu dość szybko przeniosła się z iksowych komentarzy do tradycyjnych mediów, gdzie uaktywnił się chór ekspertów wieszczących wielkie zwycięstwo nad Wielkim Szatanem. Trwający zaledwie miesiąc konflikt określony został mianem „grzęzawiska", „wpadki", a nawet „katastrofy" – krytycy porównywali go do amerykańskich inwazji na Irak i Afganistan, rosyjskiej inwazji na Ukrainę czy wojny wietnamskiej. Paweł Musiałek, prezes Klubu Jagiellońskiego, odniósł się na platformie X do gróźb wypowiadanych przez Donalda Trumpa względem Iranu, określając Stany Zjednoczone „niedawnym mocarstwem", które przeżywa właśnie „szybki i żenujący upadek" zamiast „godnego pogrzebu hegemona".

Próba sformułowania ostatecznej oceny politycznej w samym środku wojennej zawieruchy to oczywiście zadanie karkołomne, choć niewątpliwie kuszące. Co gorsza, w wielu mediach podejmowano się również oceny operacyjnej, lansując opowieść o militarnej niewydolności amerykańskiego imperium. Media społecznościowe zalała fala filmików generowanych przez AI bądź nagrywanych w militarnych grach komputerowych, takich jak Arma 3 czy War Thunder, które ukazywały kolejne „zestrzelenia" amerykańskich myśliwców i transportowców. Żądni „prawdy" internauci pytali, czemu nie mówi się o nich w mediach głównego nurtu, węsząc (żydowski, a jakże) podstęp. Wygenerowane nagrania bombardowań Izraela i państw Zatoki biły rekordy popularności, również na profilach osób zapraszanych do mediów w roli ekspertów od Bliskiego Wschodu (co tym dziwniejsze, że przecież prawdziwych nagrań również nie brakowało). Każdy z utraconych przez Amerykanów sprzętów opisywany był w szczególe i prezentowany jako niepowetowana strata. 4 kwietnia materiał w Polsat News o utracie przez Stany Zjednoczone dwóch samolotów podsumowany został przez prowadzącą słowami: „Amerykanie dostają baty od Irańczyków".

> IZRAEL WALCZY W TEJ WOJNIE O WŁASNE CELE, ZGODNE Z POLITYKĄ REGIONALNĄ RZĄDU BINJAMINA NETANJAHU. DLA STANÓW ZJEDNOCZONYCH NIEPORÓWNYWALNIE WAŻNIEJSZY JEST DRUGI POZIOM TEGO STARCIA: POZIOM GLOBALNY.

Tymczasem trwająca wciąż wojna w Iranie pozostaje obecnie jednym z najbardziej jednostronnych sukcesów militarnych w historii. Dominacja militarna USA w Iranie jest bezsprzeczna, nawet jeśli jest widoczna wyłącznie w domenach powietrznej i morskiej. W mediach pojawiły się informacje o nowinkach technicznych stosowanych przez Amerykanów, w tym o oprogramowaniu Maven Smart System firmy Palantir – systemie, pozwalającym na jednoczesne namierzanie i analizę do 7000 celów, który uczynił z tej wojny pierwszą z tak szerokim zastosowaniem sztucznej inteligencji. Strona izraelska również pochwaliła się swoimi osiągnięciami: dekapitacja przywództwa irańskiego okazała się możliwa dzięki włamaniu się do dostarczonych Iranowi przez Chiny systemów monitoringu i inwigilacji społecznej.

Największymi osiągnięciami reżimu ajatollahów w wojnie było do tej pory uderzenie w cywilną architekturę sąsiadów (o potencjalnie długotrwałych konsekwencjach politycznych dla nich samych) i udane zamknięcie cieśniny Ormuz. Oba te zdarzenia wywołały kłopoty narracyjne strony amerykań-

eprasa.pl ec2e027efa

skiej, wzmocnione zresztą przez ekonomiczny ból zadany społeczeństwom zachodnim i Azji. O ile jednak okazało się to udanym ruchem strategicznym, o tyle długodystansowe konsekwencje tej decyzji nie są jeszcze znane, jako że mogą one sprowokować odpowiedź pozostałych państw Zatoki.

ZAMIAST CZEKAĆ, AŻ RYWAL PODPALI POSZCZEGÓLNE REGIONY W DOGODNYM DLA SIEBIE MOMENCIE, STANY ZJEDNOCZONE PRZEJMUJĄ INICJATYWĘ I NARZUCAJĄ WŁASNE TEMPO.

Co więcej, mit o „wytrzymałości" reżimu wynika z błędnego utożsamiania fizycznego przetrwania części jego liderów z zachowaniem zdolności państwowych. Tymczasem prawdziwe problemy Iranu nie znikną wraz z końcem bombardowań. Możliwość pobierania opłat ze statków w cieśninie Ormuz (o ile w ogóle uda się Iranowi taką opcję wywalczyć) będzie jedynie kroplą w morzu potrzeb. Kroplą dodatkowo uszczuploną przez rozbudowę systemu rurociągów, o której już mówi się w państwach arabskich w odpowiedzi na obecny kryzys. To, co uda się pobrać z takiego „myta", będzie niewątpliwie przeznaczone na rychłą odbudowę zdolności wojskowych, co jeszcze mocniej podsyci nastroje antyreżimowe, obecne w społeczeństwie irańskim już od dłuższego czasu. Ceny podstawowych produktów rosną codziennie, a wątła gospodarka irańska i brak paliwa (o ironio) były już przyczyną buntów w przeszłości. Buntów tłumionych każdorazowo z użyciem siły, dziś mocno nadwątlonej. Przetrwanie wojny nie musi oznaczać wcale przetrwania reżimu, a w każdym razie nie długoterminowo.

W wyniku rozszerzenia wojny na Bliskim Wschodzie nastąpiła trwała zmiana układu sił. Iran stracił resztki zaufania u swoich sąsiadów i postrzegany jest jako państwo jednoznacznie niebezpieczne – w czym niemały udział miała decyzja o dronowaniu ich infrastruktury energetycznej. Izrael zyskać może lokalnych sojuszników do dalszych operacji przeciw Iranowi, także po przesunięciu się Stanów Zjednoczonych na Pacyfik. Nieznany jest w chwili obecnej status sankcji nakładanych w ostatnich dekadach na Iran, ale jeśli będą one choć częściowo obowiązywać, Iran będzie miał większy problem z ich obchodzeniem (dotychczas pomagały w tym właśnie państwa Zatoki).

Geopolityczne ryzyko

Problemy Iranu nie są oczywiście jedynymi konsekwencjami tej wojny, choć są nieporównywalnie najpoważniejsze. Zniszczone rafinerie czy infrastrukturę gazową państw o dużych rezerwach można bez problemu odbudować. Jeśli wojna nie będzie przeciągać się w nieskończoność, administracja Trumpa ma jeszcze szansę odbić się w popularności przed wyborami połówkowymi. Największym wyzwaniem dla administracji okazała się zresztą nie sama wojna, ale jej wizerunek. Chaotyczne komunikaty wysyłane przez Trumpa z pewnością nie pomagały. Konsekwencje wzburzenia klasy podkastowej wydają się jednak – jak na razie – ograniczone, choć Tucker Carlson z pewnością zyskał kilku dodatkowych widzów pośród polskiej prawicy.

Ostateczny efekt tej wojny pozostaje nieznany – przekonamy się o nim dopiero w nadchodzących miesiącach. Krytyka podjętego przez Stany Zjednoczone ryzyka ignoruje jednak kontekst wcześniejszej bezczynności. Brak działania bywa równie strategicznym wyborem, jak i działanie – i często znacznie bardziej kosztownym. S

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl ec2e027efa

Supeł żydocentryzmu

W środowiskach określanych jako „na prawo od PiS” coraz większą popularność zdobywa „żydocentryzm”, czyli przekonanie, że **klucz do zrozumienia** światowej polityki znajduje się w Izraelu. Niedawny atak sił amerykańsko-izraelskich na Iran tylko wzmocnił tę tendencję, pogłębiając zamęt w ocenie geopolitycznych interesów Polski.

Ludwik Pęziot

Mówiąc nieco zgryźliwie, w ostatnich tygodniach mogliśmy zaobserwować na tzw. skrajnej prawicy zjawisko „nagłego” przypływu współczucia, empatii i zrozumienia dla wartości humanitarnych. Związani z jej środowiskami politycy i publicyści, którzy dotąd milczeli na temat rosyjskich ludobójstw i przemysłu porywania ukraińskich dzieci, a czasem nawet ochoczo dołączali do kopania napadniętych, nagle zaczęli szlochać nad losem zaatakowanych z powietrza Irańczyków. Cóż takiego się stało, że jeszcze niedawno nie robiła na nich większego wrażenia dziejąca się niedaleko inwazja nastawiona na wyniszczenie i okupację, a teraz jedna kampania powietrzna na innym kontynencie wystarczyła, by zabrzmiał donośny głos sprzeciwu i moralnego oburzenia? Dla kogoś, kto nie miał dotąd wiele do czynienia ze „skrajną prawicą”, odpowiedź może brzmieć nieintuicyjnie: chodzi o to, że w jednym z tych ataków uczestniczyli Żydzi, a ci w jej wyobraźni urastają



do znacznie groźniejszego i paradoksalnie bliższego przeciwnika niż „przegadana” Rosja.

Izraelski wytrych

Jeszcze niedawno wydawało się, że dopatrywanie się wszędzie utajonej ręki żydowskiej jest raczej domeną odklejonych staruszków, których wywody skutecznie uprzykrzają każdą rodzinną imprezę, wśród młodszego pokolenia zaś takie myślenie stanowi synonim intelektualnego obciachu. Od kiedy jednak większą rolę zaczął odgrywać internetowy obieg medialny, który za punkt honoru obrał sobie różnienie się w dosłownie każdej kwestii od obrzydłego „mainstreamu”, to myślenie zaczęło reprodukować się także w młodszych pokoleniach.

W efekcie znaczna część pozapisowskiej prawicy w Polsce kieruje się w swoim rozumieniu polityki międzynarodowej wytrychem w postaci Izraela. Państwo, które niewątpliwie jest bardziej wpływowe, niż wskazywałyby na to jego rozmiary czy populacja, i które dzięki swojej lokalizacji, soft power oraz sprawności wywiadowczej pełni pewną rolę w geopolitycznej układance, urasta w ich oczach do rangi głównego rozgrywającego polityki światowej. I (jak to bywa w tego typu rozumowaniach) opierają się one na przemilczeniach, przekłamaniach, ale również na informacjach prawdziwych, którym nadaje się znaczenie dalece nieadekwatne do ich realnej wagi.



Fot. Adobe Stock

Żydocentryczna narracja skrajnej prawicy to istny węzeł gordyjski, z którym nie można uporać się jednym prostym cięciem, a jego mozolne rozplątywanie nie przyciąga tyle uwagi co sensacyjne teorie spiskowe. Sytuację dodatkowo utrudnia fakt, jaki koszt niesie rezygnacja z żydocentrycznej wizji świata dla osoby, która dotychczas ją wyznawała. Odejście od tezy, że Izrael „trzęsie” Stanami Zjednoczonymi, oznaczałoby dezintegrację skrupulatnie budowanego przez lata obrazu rzeczywistości, bez którego umysł „żydocentrysty” pogrążyłby się w chaosie i dezorientacji. No bo jak to? Wszystko było już perfekcyjnie jasne – wiedzieliśmy, że każde wydarzenie wynika z przestawienia wajchy przez „pejsatego”, że to on jest odpowiedzialny za wojny, kryzysy i rewolucje kulturowe. Jeżeli nie jest on tak silny i nie steruje hegemonem tego świata, nagle geneza tych wszystkich zjawisk niknie w niepokojącej pustce.

W WYOBRAŹNI „ŻYDOCENTRYSTÓW” IZRAEL URASTA DO ZNACZNIE GROŹNIEJSZEGO I PARADOKSALNIE BLIŻSZEGO PRZECIWNIKA NIŻ ROSJA.

Co gorsza, każdy, kto by się tego dopuścił, musiałby liczyć się z wykluczeniem z dotychczasowej sieci znajomości, w której podobny sposób widzenia polityki stanowi podstawowe spoiwo. Bo „żydocentryzm” to już nie tylko spojrzenie na układ sił na świecie, ale również zbiorowa tożsamość. Dodajmy do tego prężnie rozwijający się przemysł resentymentu wobec Żydów (książki, czasopisma, portale, eventy) żywo zainteresowany, by podtrzymywać wśród swych konsumentów żydocentryzm. Bo to on wywołuje złudzenie, że wszystko, co związane z Żydami, w najwyższym stopniu nas dotyczy, i warto za tę „wiedzę” płacić.

Stąd właśnie bierze się poczucie pewnej beznadziei przy setnym z rzędu przywoływaniu tych samych faktów przeczących tezie o Izraelu jako „ogonie machającym amerykańskim psem”.Wyliczyłem je już zarówno w „TS”, jak i w innych mediach: sprzedawanie przez USA broni państwom wrogim Izraelowi, publiczne potępianie wielu praktyk wojennych tego państwa, przetrzymywanie w amerykańskich więzieniach izraelskich szpiegów mimo nacisków Tel Awiwu czy wielokrotne odmawianie pomocy militarnej na prośbę bliskowschodniego sojusznika. Liczne fakty świadczące, że Waszyngton pomaga Izraelowi warunkowo i dopiero po uprzednim przekalkulowaniu własnego interesu (zwykle w kontekście rozgrywki z Chinami), zwyczajnie nie budzą zainteresowania. W tego typu środowiskach ważniejsza od trafności diagnozy jest bowiem przynależność do żydocentrycznej subkultury internetowej i poczucie wyższości nad „zjadaczami przekazu głównego nurtu”.

eprasa.pl ec2e027efa

Kazus Rubio

Przekłamanie motywacji udziału USA w nalotach na Iran jest idealnym przykładem kolejnego guza na żydocentrycznym suple. Za sprawą wyrwanego z kontekstu fragmentu wypowiedzi sekretarza stanu USA Marca Rubia, który błyskawicznie stał się internetowym viralem, „żydocentryści" otrzymali rzekomo żelazne potwierdzenie tezy o „Stanach Zjednoczonych chodzących na pasku Izraela". W krążącym w sieci fragmencie nagrania miała pojawić się informacja, że USA zaatakowały Iran, ponieważ wcześniej miał zrobić to Izrael. W ten sposób powielano urywek wypowiedzi Rubia opatrzony „odpowiednimi" podpisami typu: „Rubio przyznał, że Izrael rządzi USA" albo „Izrael zmusił USA do ataku". Powielaniu wprowadzającego w błąd materiału towarzyszyła ze strony wielu wręcz misyjna żarliwość do „otwierania ludziom oczu", czym można wytłumaczyć jego zasięg.

Efekt jest taki, że w późniejszych rozmowach z „żydocentrystami" na stwierdzenie, że atak był suwerenną decyzją Stanów Zjednoczonych, można było usłyszeć, że „przecież Rubio sam się przyznał, że zrobili to na polecenie Izraela". Problem polega na tym, że Rubio nie powiedział niczego podobnego. Wyjaśnił jedynie, że Waszyngton wiedział o planowanym izraelskim ataku na Iran, zdawał sobie również sprawę, że irańska odpowiedź automatycznie obejmie amerykańskie wojska w regionie. W tej sytuacji (jak tłumaczył) administracja USA zdecydowała się działać wyprzedzająco w celu minimalizacji strat. Dla uniknięcia kontrowersji dodał przy tym, że starcie z Iranem i tak było nieuniknione, a więc spór dotyczył raczej momentu uderzenia niż samej decyzji. Jak jednak można się było spodziewać – profilaktyka nie zadziałała, kazus Rubia zaś zasilił zbiór przypadków, w których wyrwany z kontekstu strzęp cytatu staje się „dowodem" na istnienie globalnej żydowskiej dźwigni sterującej polityką Stanów Zjednoczonych.

Realistyczne dwójmyślenie

Uderzające jest to, że „żydocentryści" niemal w stosunku jeden do jednego pokrywają się z grupą określającą się mianem „realistów geopolitycznych". W ich deklaracjach w międzynarodowym układzie sił liczą się przede wszystkim twarde zasoby: potencjał gospodarczy i militarny, liczba ludności, położenie geograficzne czy dostęp do surowców. Cała reszta: ideologie, wartości, symbolika, charaktery narodowe, psychika przywódców etc. mają być rzekomo domeną romantyków i naiwnych idealistów. Ów „realizm" ma dubeltowe znaczenie, bo wyznacza również strategię postępowania danego państwa: nie można być ckliwym ani moralnym, rację ma ten, kto jest silniejszy, a dzień bez powtórzenia maksymy „państwa nie mają przyjaciół, tylko interesy" jest dniem straconym. Jednak w przypadku Izraela i Żydów wszystkie te twarde deklaracje nagle ulegają zawieszeniu. Trudno bowiem o większy ładunek emocjonalny od tego, który pojawia się u „realistów" właśnie w tematach żydowskich. Jak pokazano wcześniej na przykładzie porównania ich reakcji na wojnę na Ukrainie i naloty na Iran, chłodna kalkulacja bardzo szybko ustępuje manifestacjom solidarności z reżimem muzułmańskim, a nawet zachwycaniu się jego dopuszczającym pedofilię i mordującym nawróconych chrześcijan ustrojem. W sytuacji, gdy przez lata „skrajniacy" opluwali wszelkie wyrazy solidarności z zaatakowaną Ukrainą, sami stali się ponurą karykaturą polskiego zrywu proukraińskiego z początku rosyjskiej inwazji.

> REALIZM GEOPOLITYCZNY OBOWIĄZUJE TYLKO DO MOMENTU, W KTÓRYM JEGO WNIOSKI NIE KOLIDUJĄ Z ŻYDOCENTRYCZNYM OBRAZEM ŚWIATA.

Co więcej, wspomniane „miękkie" czynniki, których wpływ na politykę „realiści" bagatelizują lub wręcz wyśmiewają, okazują się w przypadku Izraela kluczowe. Bo jak inaczej wyjaśnić rzekomo niemal nieograniczony wpływ państwa, które pod względem demograficznym, gospodarczym i terytorialnym pozostaje graczem średniej wielkości? Bez przekazu kulturowego, symbolicznego, lobbingu, zjednania sobie wpływowych osób etc. tego zrobić się przecież nie da. W praktyce oznacza to, że „realizm geopolityczny" obowiązuje tylko do momentu, w którym jego wnioski nie kolidują z żydocentrycznym obrazem świata.

I dokładnie to samo dzieje się w kwestii amerykańskiej. Jeszcze niedawno „skrajniacy" fetowali podpisywanie przez Donalda Trumpa licznych dekretów ograniczających wpływy światowego lewactwa oraz wycofywanie się pod jego presją kolejnych firm z praktyk spod znaku WOKE. Dziś ci sami ludzie nagle oznajmiają, że „Trump zdradził!", i ręka w rękę z obozem „uśmiechniętych" miotają w niego kolejnymi gromami. Trudno o bardziej wymowny dowód emocjonalnego spojrzenia na politykę.

eprasa.pl ec2e027efa

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Polacy bez pracy

Wiele błędów, podłości i zaniechań rządu liberalno-lewicowego nie powinno przykryć sprawy kluczowej. Dewastacji rynku pracy. Wciąż postępującej.

Można się spierać o idee, historię, wartości, wizje przyszłości. Na tym polega demokracja. Ale nie da się spierać o to, czy ludzie powinni mieć pracę. Ogromna większość osób w wieku produkcyjnym musi pracować. Bo nie będziemy mieli co jeść. A nie ma sensu spór o to, czy głodować.

Gdy liberałowie przejmowali władzę, poziom bezrobocia wynosił 5%. Dzisiaj to już 6,1%. W liczbach bezwzględnych przybyło ponad 100 000 bezrobotnych. Jest ich w Polsce już ponad 960 000.

W 2023, czyli roku kryzysu związanego z wojną, zwolnienia grupowe objęły 17 tys. osób. W roku 2025 dotknęły już niemal 30 tysięcy Polaków.

Masowe cięcie etatów to nie tylko sektor prywatny. Uderzyło ono także w pracowników Poczty Polskiej i PKP Cargo. Nie oszczędzano państwowych kopalń. Podobnie z firmami należącymi do publicznej Agencji Rozwoju Przemysłu. „Fachowcy" od Tuska zdewastowali m.in. odlewnię Chemar w Kielcach, ARP E-Vehicles i „Stomil" w Bydgoszczy, Wytwórnię Sprzętu Komunikacyjnego w Poznaniu.

W województwie podkarpackim bezrobocie wynosi 9,6%. W warmińsko-mazurskim aż 10,1%. W tym ostatnim wzrosło za rządów liberałów i lewicy z poziomu 8,3%. Bezrobocie na poziomie 10 lub więcej procent dotyczy już 104 powiatów w całej Polsce. Pod koniec rządów PiS było ich o 20 mniej. Było za to wtedy 85 powiatów, gdzie bezrobocie wynosiło między 0 a 4%. Dzisiaj mamy takich zaledwie 53.

W grupie do 25. roku życia poziom bezrobocia wynosi 12,5%. Liczba osób, które przez ponad dwa lata pozostają bez zatrudnienia, to już 191 000. Tylko w ciągu roku 2024 przybyło ich ponad 14 000. Jeszcze gorzej wygląda to w przypadku osób niemających zatrudnienia przez 12–24 miesiące. Takich Polaków jest ponad 143 000. W skali roku przybyło ich niemal 22 000.

Coraz gorzej z miejscami pracy. Całościowa liczba zatrudnionych zmalała w zaledwie rok o 25 000, a w przemyśle o 49 000 osób.

Fatalne tendencje nie wyhamowują. W styczniu i lutym 2026 r. straciło pracę z przyczyn leżących po stronie zatrudniających niemal 81,5 tys. osób. To o 12% więcej niż w tych miesiącach roku 2025. W lutym liczba nowych bezrobotnych wyniosła ok. 41 tys. To najwyższy poziom od ponad czterech lat.

To nie tylko suche liczby. To konkretni ludzie i społeczności. Często z dala od dobrych rynków pracy.

W pierwszym kwartale 2026 roku ogłoszono zwolnienia grupowe m.in. w Skarbimierzu, Jeleniej Górze, Słupsku, Koszalinie, Bydgoszczy, Pile, Zamościu i Wołowie.

Co na to rząd? Drastycznie zmniejszył nakłady na wsparcie w wychodzeniu z bezrobocia. W 2025 roku na ten cel przeznaczono 3,6 mld zł. W obecnym – tylko 2,1 mld. W województwie warmińsko-mazurskim, gdzie bezrobocie jest najwyższe, powiatowe urzędy pracy otrzymają nawet o 84% środków mniej na ten cel.

Szparagi w Niemczech już czekają. Trzeba im zapewnić zbieraczy. Głód to przecież najlepszy motywator do podjęcia ciężkiej pracy u bauera.

eprasa.pl ec2e027efa

Biuro Wiary i Wojny

– Powiedzieć „nie” prezydentowi Trumpowi to **powiedzieć „nie” Bogu** – stwierdziła Paula White, szefowa Biura Wiary Białego Domu.

Agnieszka Żurek



Fot. Evelyn Hockstein / Reuters / Forum

Prezydent USA Donald Trump podczas konferencji prasowej w Pokoju Prasowym im. Jamesa S. Brady'ego w Białym Domu; Waszyngton, 6 kwietnia br.

Sakralizacja władzy w USA staje się niebezpiecznym mechanizmem nie tylko godzącym w uczucia religijne chrześcijan, ale także utrudniającym poddawanie decyzji polityków racjonalnej ocenie.

Teokracja w USA

„Idee religijne z ogromną niekiedy siłą motywują ludzi do działania indywidualnego i zbiorowego. Wiara, która skłoniła purytanów do porzucenia bezpiecznego życia w kraju rodzinnym i do stawienia czoła zagrożeniom czyhającym na nieznanej ziemi po drugiej stronie oceanu, shakerów do odizolowania się od świata i przyjęcia ascetycznego trybu życia w komunie, mormonów zaś do nieustannych migracji w poszukiwaniu Nowego Jeruzalem, stanowi olbrzymi zasób społeczny” – pisze Maciej Potz we wstępie do swojej książki „Teokracje amerykańskie. Źródła i mechanizmy władzy usankcjonowanej religijnie”. Autor podejmuje w tym opracowaniu próbę prześledzenia relacji między władzą polityczną a religią na przestrzeni wieków w Stanach Zjednoczonych. Stawia w książce tezę, że kraj uważany powszechnie za kolebkę demokracji ma w gruncie rzeczy więcej wspólnego z teokracją, niż mogłoby się wydawać.

Potz wskazuje, że związek władzy ziemskiej ze sferą sacrum jest jednym z najstarszych elementów każdej cywilizacji i że „należałoby może mówić raczej o «polityzacji» sacrum niż sakralizacji władzy, w tym sensie, że moc zostaje upostaciowana w osobie władcy (nie zaś znaczenie religijne zostaje przydane do istniejących niezależnie instytucji politycznych)”. „Władca jest nosicielem mocy kosmicznej, zdolnym do jej okiełznania i skanalizowania na użytek społeczności. Z tych wyobrażeń bierze się najbardziej chyba podstawowa funkcja religijna władcy, jaką stanowi podtrzymywanie ładu kosmicznego” – stwierdza.

W ten archetypiczny koncept wpisuje się wielu współczesnych światowych liderów, szczególnie w krajach azjatyckich, afrykańskich i na Bliskim Wschodzie. Zachodnia cywilizacja w teorii już dawno od tych idei odeszła, porzucając je na rzecz przyjęcia zasad demokracji. Nie znaczy to jednak, że sama tęsknota za przywódcą pełniącym rolę Bożego pomazańca została wymazana z ludzkiego DNA. Momentami, kiedy objawia się ona w szczególny sposób, są czasy chaosu, konfliktu, podziałów, wojen i poczucia zagrożenia. Z tym wszystkim mamy do czynienia od lat, a jeśli dodamy do tego powszechny upadek autorytetów, chęć oparcia się na jakimkolwiek stabilnym filarze może okazać się trudna do przezwyciężenia.

eprasa.pl ec2e027efa



Mit ocalonego przez Boga

Wydaje się, że amerykański prezydent Donald Trump stał się dla wielu swoich rodaków – ale i dla sporej części narodów proamerykańskich – kimś, kto miał dawać nadzieję na przywrócenie w USA utraconego porządku wartości. Z takim hasłem: „Uczynić Amerykę znowu wielką” szedł zresztą do wyborów i ono zapewniło mu fotel prezydenta. Wiece z jego udziałem dawały wyborcom ruchu MAGA okazję do wyrażenia emocji związanych z oczekiwaniami pokładanymi w republikańskim polityku. Im większy hejt spadał na niego ze strony zwolenników jego kontrkandydatki Kamali Harris, tym bardziej „trumpiści” pragnęli mu to wynagrodzić.

Po strzelaninie na wiecu w Butler w Pensylwanii media obiegło filmowe zdjęcie Trumpa z zakrwawionym uchem i zaciśniętą walecznie pięścią na tle amerykańskiej flagi. W sieci pojawił się wówczas nawiązujący do tej sceny obraz Pana Jezusa z zabandażowanym uchem, który udostępniało wielu zwolenników ruchu MAGA. Sam Trump skomentował to wydarzenie słowami: „Bóg ocalił mnie, abym uczynił Amerykę znowu wielką”, umiejscawiając tym samym naturę swojej drogi politycznej w kategoriach mistycznych.

Pastorka „sakaraka poweeeeer!!!”

Nie jest tajemnicą, że ego Donalda Trumpa nie przypomina delikatnej harmonijki ustnej, ale raczej potężne organy, na których rozmaite melodie mogą wygrywać ci, którym uda się zyskać przychylność polityka. Jedną z takich osób stała się ewangelikalna pastorka Paula White, której Trump po swoim zwycięstwie wyborczym powierzył kierowanie nowo utworzonym w Białym Domu Biurem Wiary.

W tradycji chrześcijańskiej rolą duchowego doradcy władcy danego państwa była przede wszystkim troska o zbawienie Bożego pomazańca, a także o dobro duchowe narodu. Zdarzało się, że wierność Chrystusowi stawiana ponad chęcią zadowolenia króla kosztowała ich nawet utratę życia, jak w przypadku św. Jana Chrzciciela, św. Stanisława czy św. Tomasza Morusa.

Paula White uczyniła z tej tradycji karykaturę. Przedsiębiorcza kobieta najpierw uprawiała „ewangelię sukcesu”, wprowadzając skołowanych ludzi zgromadzonych na religijnych „stadionowych uwielbieniach” w rodzaj transu. Biegając po scenie z mikrofonem, wykrzykiwała herezje w rodzaju: „Gdzie ja stąpam, stąpa Bóg!” bądź „mówiła językami”, krzycząc: „Sakarakasakaraka poweeeeer!” (kto nie wierzy, niech sprawdzi). Nie zapominała przy tym o przekazaniu zgromadzonym, iż Bóg objawił jej, jak wiele osób wypisuje czeki po 10 tysięcy dolarów na jej działalność charytatywną. Zaznaczała przy tym, że tu nie chodzi o nią, ale o dobro dzieci, które będą głodować, jeśli zgromadzone na modlitewnym wydarzeniu skąpiradła jednak nie wypiszą czeku.

NIE JEST TAJEMNICĄ, ŻE EGO DONALDA TRUMPA NIE PRZYPOMINA DELIKATNEJ HARMONIJKI USTNEJ, ALE RACZEJ POTĘŻNE ORGANY.

eprasa.pl ec2e027efa

Paula White, odkąd Trump powierzył jej zadanie kierowania Biurem Wiary, nie bawi się w niuanse. Najpierw orzekła, że ponieważ ona stąpa po Białym Domu, stąpa po nim Bóg, a w Wielkim Tygodniu porównała amerykańskiego prezydenta do cierpiącego, umęczonego i zmartwychwstałego Pana Jezusa.

– Jezus nauczył nas tylu lekcji poprzez swoją śmierć, pochówek i zmartwychwstanie. Pokazał nam wielkie przywództwo i to, że wielka przemiana wymaga wielkiej ofiary – stwierdziła. – Nikt nie zapłacił takiej ceny, jak ty – powiedziała, zwracając się bezpośrednio do Donalda Trumpa. – Prawie kosztowało cię to życie. Zostałeś zdradzony i aresztowany. I fałszywie oskarżony. To znajomy wzorzec, który pokazał nam nasz Pan i Zbawiciel. Ale dla Niego to się nie skończyło. I dla ciebie też nie. Bóg zawsze miał plan. Trzeciego dnia zmartwychwstał, pokonał zło, zwyciężył śmierć, piekło i grób. I ty dzięki Jego zmartwychwstaniu powstałeś. On zwyciężył i ty zwyciężyłeś. I dzięki Jego zwycięstwu każde twoje działanie będzie zwycięskie – dodała.

W ślad za Paulą White przemowy na cześć Trumpa wygłosili kolejni zgromadzeni na wielkośrodowym spotkaniu modlitewnym religijni liderzy. Jeden z nich, kiedy mówił o Jezusowym królestwie, wywołał u Trumpa poruszenie. – Mnie także porównują do króla. Chodzą na demonstracje z hasłami: „No kings" (żadnych królów). Jestem takim królem, który nawet nie może ukończyć budowy sali balowej w Białym Domu – ubolewał amerykański prezydent.

„Prawo to ja"

Być może jednak uwierzył w swoje królewskie prerogatywy, skoro uznał, że „prawo międzynarodowe nie jest mu potrzebne", ponieważ ogranicza go jego własny umysł i własna moralność. Sławiąc swoją wiktorię w walce z Iranem, odwołał się do średniowiecznej retoryki, mówiąc: „Zwycięzca bierze łupy".

W Wielkanoc wydał z kolei królewską odezwę, w której napisał: „Wtorek będzie w Iranie Dniem Elektrowni i Dniem Mostu, wszystko w jednym. Nie będzie niczego podobnego!!! Otwórzcie tę p******** cieśninę, wy szalone dranie, albo traficie do piekła – ZOBACZYCIE! Chwała Allahowi".

Trudno skomentować to poważnie i zapewne nawet sam amerykański prezydent nie zdaje sobie sprawy, jak groteskowo, infantylnie i zarazem przerażająco brzmią takie słowa napisane w najświętszym dniu dla wyznawców chrześcijaństwa – do których sam się według swoich deklaracji zalicza. I jak przy okazji obraża przy tym sporą część obywateli własnego państwa wyznających islam. Jeśli jednak – w myśl słów duchowej doradczyni amerykańskiego prezydenta – sprzeciwianie się mu oznacza sprzeciwianie się samemu Bogu, kończy się tu pole do dyskusji. Każda wojna prowadzona przez amerykańskiego prezydenta będzie od tej pory wojną świętą. Tę filozofię ochoczo zresztą uprawia szef Departamentu Wojny Pete Hegseth, który mówi o „miażdżącej przemocy" w imię Jezusa.

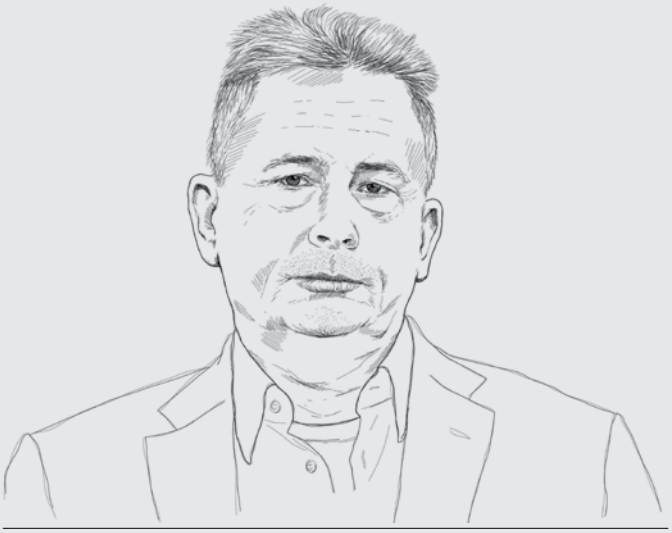
KAŻDA WOJNA PROWADZONA PRZEZ AMERYKAŃSKIEGO PREZYDENTA BĘDZIE OD TEJ PORY WOJNĄ ŚWIĘTĄ.

Stosowanie przemocy w imię Boga i/lub władcy kojarzyło się do tej pory raczej z mentalnością wschodnią niż zachodnią, jednak retoryka Donalda Trumpa oraz szefostwa jego Biur – Wiary i Wojny niszczy dotychczasowy porządek.

Głos w tej sprawie zabrał papież Leon XIV, określając wojnę w Iranie mianem niesprawiedliwej, apelując o pokój i uznając za niedopuszczalne formułowane przez amerykańskiego prezydenta groźby „zniszczenia całej cywilizacji". – Zachęcałbym obywateli wszystkich zaangażowanych krajów, aby kontaktowali się z władzami, przywódcami politycznymi, parlamentarzystami, prosząc ich i apelując, by działali na rzecz pokoju i odrzucili wojnę – zaapelował Leon XIV, przypominając, że przemoc „niczego nie rozwiązuje".

LEON XIV OKREŚLIŁ WOJNĘ W IRANIE MIANEM NIESPRAWIEDLIWEJ, UZNAJĄC ZA NIEDOPUSZCZALNE GROŹBY AMERYKAŃSKIEGO PREZYDENTA „ZNISZCZENIA CAŁEJ CYWILIZACJI".

eprasa.pl ec2e027efa



Piotr Skwieciński

Książę de La Rochefoucauld i „brutalnie szczerzy”

„Ci, którzy szczycą się tym, iż są «brutalnie szczerzy», często są bardziej zainteresowani w byciu brutalnym niż w byciu szczerym”. Ta maksyma Boba Burga przypomina mi się ostatnio, niestety, niezwykle często.

Właśnie ostatnio. Bo kiedyś, w starych, obrzydliwych czasach, wszyscy równie obrzydliwie kłamali.

Nikomu, na przykład, nie przychodziło do głowy, żeby publicznie swoją siłę uznawać za uzasadnienie, samo w sobie, jakiejś agresji. Odwrotnie – bardzo wiele (obrzydliwego) wysiłku wkładano w to, żeby samemu wyjść na ofiarę.

Jeńców, bywało, nie brano. Ba, bywało, że mordowano. Ale przecież nigdy nie demonstracyjnie. Czy komuś przyszłoby do głowy, żeby publicznie mówić – ba, ekscytować się! – tym, że wydało się rozkaz, by nie okazywać litości i nie brać do niewoli? Przecież nie. Precedensy, owszem, by się znalazły. Ale wyłącznie w dyskretnych czterech ścianach bunkra w Wilczym Szańcu czy w daczy w Kuncewie, a nie demonstracyjnie. Nie na wiecu w Sportpalast czy w wywiadzie dla „Izwiestii”.

To znaczy, że uważam, iż kłamiący wtedy byli lepsi od dzisiejszych „brutalnie szczerych”? Nie. Zabijali wielokrotnie więcej ludzi, przy czym często kierując się jedną z nieludzkich, eksterminacyjnych motywacji, które dzisiejszym przywódcom, nawet najbardziej złowrogim, są jednak raczej obce.

Tylko że skonstatowawszy to, warto jednak przypomnieć wyświechtane słowa księcia François de La Rochefoucauld o tym, że hipokryzja to hołd składany przez występek cnocie. Cnocie – czyli dobru.

Dawni przywódcy, którzy obrzydliwie kłamali, byli często ludźmi bardzo złymi. Ale zarazem stanowili część starego świata, z jego często naiwnymi, często łamanymi (zwłaszcza za granicami własnego kręgu cywilizacyjnego) standardami rycerskimi czy humanitarnymi. Nawet jeśli wewnętrznie tego chcieli, to nie czuli się na siłach publicznie postawić się poza tymi standardami, ogłosić ich nieistnienie. Formalnie je podtrzymywali, nawet jeśli realnie łamali.

Miało to skutki rozmaite, ale również – dobre. Bo nie tylko materialne fakty kształtują ludzi. Kształtuje ich także narracja, która ich otacza. Jeśli jest jednoznaczna i rzeczywiście wszechogarniająca, ma na nich wielki wpływ. Innymi słowy – ktoś, kto od dziecka słyszy, że mordowanie bezbronnych jest czymś jednoznacznie złym, kiedy znajdzie się w sytuacji, w której coś będzie od niego zależało, będzie mu, statystycznie częściej, trudniej zacząć mordować.

Tak, ja wiem, że w tym miejscu można by mnie zarzucić całą gamą przykładów, w których ta reguła nie zadziałała. Z pokorą przyjmuję fakty. Ale przecież naprawdę nie sposób znaleźć logicznego argumentu przeciw zdroworozsądkowemu założeniu, że nawet jeśli tak, nawet jeśli ludzie wychowani w atmosferze etosu rycerskiego i humanitaryzmu potrafili sprzeniewierzać się niesionym przez nie wartościom i robić rzeczy potworne – to na ile większą skalę robiliby to, gdyby wchodząc na tę ścieżkę, nie musieli pokonać skutków tego wychowania?

Otóż wydaje mi się, że „brutalna szczerość” i kult siły jako podstawowego i w zasadzie jedynego uzasadnienia dla zrobienia tego, co silniejszy chce zrobić, totalnie rozregulowuje ten mechanizm. Mechanizm oczywiście daleki od doskonałości, ale mimo to chroniący nas do niedawna przed horrorami jeszcze większymi niż te, które realnie były udziałem naszego kręgu kulturowego.

Dlatego obawiam się, że przyszli historycy wskażą lata 20. XXI wieku jako czas niedobrego przełomu. I odnajdą w tych latach korzenie jakiegoś potwornego zła, które zmaterializuje się dopiero za jakiś czas. Zła, którego dziś nie umiemy sobie wyobrazić, tak jak ludzie XIX wieku nie byli w stanie wyobrazić sobie Holocaustu.

I naprawdę chciałbym być złym prorokiem.

eprasa.pl ec2e027efa



Fot. Kevin Lamarque / Reuters / Forum

Razem, ale czasem osobno

W relacjach z USA dojrzewamy, zaczynamy być krytyczni i zdystansowani. Nie stajemy się antyamerykańscy, chcemy być bardziej **samodzielni**.

Jakub Pacan

Wojna w Iranie objawiła się w Polsce bardzo ważnym wskaźnikiem dojrzewania politycznego i samodzielnego myślenia naszego społeczeństwa. Wskaźnik ten dotyczy sceptycyzmu i krytycyzmu wobec Donalda Trumpa, a tym samym polityki Ameryki.

Trudny sondaż

W badaniu CBOS z końca marca zapytano respondentów, czy ich zdaniem decyzja Stanów Zjednoczonych i Izraela o ataku na Iran była słuszna. 77 proc. badanych uważa, że decyzja ta była niesłuszna, 51 proc. wyraziło swój pogląd w sposób zdecydowany, 26 proc. stwierdziło

eprasa.pl ec2e027efa

„raczej nie”. Jedynie 8 proc. pytanych uważa, że USA i Izrael podjęły słuszną decyzję – w tej grupie 5 proc. odpowiedziało „raczej tak”, a jedynie 3 proc. „zdecydowanie tak”. 15 proc. badanych odmówiło odpowiedzi bądź nie potrafiło jej udzielić.

Padło również pytanie, czy konflikt Stanów Zjednoczonych i Izraela z Iranem zagraża bezpieczeństwu Polski. 49 proc. pytanych uważa, że konflikt ten stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski. Za to aż 89 proc. badanych pozytywnie oceniło stanowisko rządu, który zapowiedział, że nie wyśle naszych wojsk do Iranu.

Gdy zobaczyłem sondaż wskazujący, że 77% Polaków nie popiera tej wojny, na myśl przyszły mi słowa z Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian, który upomina młodą wspólnotę: „A ja nie mogłem, bracia, przemawiać do was jako do ludzi duchowych, lecz jako do cielesnych, jak do niemowląt w Chrystusie. Mleko wam dałem, a nie pokarm stały, boście byli niemocni; zresztą i nadal nie jesteście mocni”. Dziwne, że akurat ta myśl Apostoła Narodów przyszła mi do głowy w kontekście wojny USA z Iranem, prawda? Jednak przez całe lata nasz bezwarunkowy, cielęcy proamerykanizm będący splotem różnych historycznych doświadczeń (fakt, Ameryce zawdzięczamy bardzo, bardzo wiele) był mlekiem naiwności, wdzięczności, nadziei i bezrefleksyjnego zachwytu. „Wypowiedzmy Stanom Zjednoczonym wojnę, poddajmy się, niech nas zaczną okupować i stańmy się 51. stanem USA” – krążyła anegdota w okresie PRL. Polski proamerykanizm na tle europejskiego antyamerykanizmu przybrał postać fenomenu.

W średniej adolescencji

Teraz wydajemy się dojrzewać i patrzeć na naszego głównego sojusznika z większą świadomością, dystansem i krytycyzmem. W relacjach z Ameryką jesteśmy obecnie – używając metafory zaczerpniętej z psychologii rozwoju człowieka – w średniej adolescencji (wiek ok. 14–17 lat). To wiek dojrzewania nastolatka, kiedy młody człowiek charakteryzuje się intensywną walką o niezależność, koncentruje nad rozwojem własnej tożsamości, eksperymentowaniem z relacjami i separacją od rodziców. Polacy na szczęście młodzieńczego buntu wobec Ameryki nie przeżywają, ale nie patrzą już na nią w zachwycie, jak kilkanaście lat temu.

Polacy 37 lat po upadku komunizmu zaczynają chłodniejszym okiem patrzeć na swoich akuszerów, którzy uczyli ich wolności, pluralizmu, demokracji i kapitalizmu. Podobnie jak średni adolescent chcemy w końcu decydować o sobie sami, wyrażamy coraz głośniej nasz sprzeciw, gdy nasz protektor, ba! polityczny „rodzic” robi coś, czego obronić się za bardzo nie da, przynajmniej z punktu widzenia moralności. Chcemy w końcu sami decydować o jakości naszych relacji w przestrzeni międzynarodowej (jak nastolatek w swoim otoczeniu) oczywiście na tyle, na ile sami potrafimy to udźwignąć, obrzydło nam już odbieranie jedynie poleceń i dobrych rad. To było dobre w wieku dziecięcym, teraz nas to drażni.

W okresie średniej adolescencji nastolatek przeżywa rozczarowanie w stosunku do rodziców i dotychczasowych autorytetów i jest wyczulony na niespójności między deklarowanymi wartościami a zachowaniem dorosłych. Komentarze w mediach społecznościowych po ataku USA na Iran były właśnie w tym tonie, wytykano Ameryce to, że krytykuje Rosję za atak na Ukrainę, a bez żadnego zażenowania sama atakuje Iran. Jeśli ktoś jednak miał jeszcze wątpliwości, czy można tak otwarcie nie wspierać Ameryki, słowa Trumpa: „Cokolwiek wykaże śledztwo w sprawie uderzenia na szkołę, mogę z tym żyć”, odnoszące się do tragedii w Minab w południowym Iranie, w której w wyniku uderzenia rakiet Tomahawk zginęło 150 uczennic w wieku 7–12 lat, dały mu do niepopierania Ameryki moralne prawo.

Tak jak nastolatki silnie walczą o autonomię, co prowadzi do konfliktów z rodzicami, tak my zaczynamy coraz głośniej mówić, ile nas ten protektorat amerykański kosztował i kosztuje. Nie chcemy też bez szemrania być prowadzeni na awantury wszczynane przez naszych pryncypałów. Dwie dekady temu

KRYTYCYZM I CHŁODNIEJSZE SPOJRZENIE NA DOKONANIA AMERYKI W PRZESTRZENI MIĘDZYNARODOWEJ NIE UJMUJĄ WZAJEMNEGO UZNANIA I WSPÓLNEJ IDENTYFIKACJI NASZYCH PAŃSTW WOKÓŁ FUNDAMENTALNYCH WARTOŚCI I HISTORII BYCIA BLISKO SIEBIE.

eprasa.pl ec2e027efa

wyjazdy na misje do Iraku czy Afganistanu polskich żołnierzy dawały nam poczucie dumy, sprawczości i ważności. Myśleliśmy, że w końcu nasz kraj też wchodzi do ligi państw, które są na tyle silne, by wprowadzać pokój i demokrację w egzotycznych zakątkach świata. Kraj, który niedawno wyszedł z komunizmu i bankructwa, stawał się na tyle godny zaufania, że dostawał odpowiedzialne zadania w najważniejszych rozgrywkach świata i w jego najbardziej zapalnych miejscach. Polscy żołnierze patrolujący piaski pustyni – wyglądem niczym nieróżniący się od marines – grubą kreską oddzielali historię przaśnego Ludowego Wojska Polskiego od nowoczesnej armii ekspedycyjnej. Tak było przynajmniej w naszych wyobrażeniach.

Podliczanie sojusznika

Jednak po latach ci, którzy wrócili – nie w trumnie wprawdzie, ale też nie w jednym kawałku, bez ręki czy nogi – z tamtych misji, skłaniali już do innych refleksji, na przykład: czy było warto? Przypieczętowaliśmy nasze sojusze krwią polskich żołnierzy, dobrze, tak się to robi, ale może już wystarczy?

Te pytania nie są podważaniem sojuszu z USA, nie należy się ich bać czy wstydzić. Nikt sojuszu nie podważa, pytanie o to, czy było warto, nie jest wyrazem rozczarowania Ameryką, lecz dojrzewania politycznego. My jako społeczeństwo i naród uczymy się zdrowego egoizmu narodowego (nie nacjonalizmu). Nieśmiało, ale coraz bardziej konsekwentnie przestajemy się krępować robienia przeglądów i bilansów struktury zależności od USA.

Krytycyzm i chłodniejsze spojrzenie na dokonania Ameryki w przestrzeni międzynarodowej nie ujmują wzajemnego uznania i wspólnej identyfikacji obu państw wokół fundamentalnych wartości mających wolność w mianowniku i historię bycia blisko siebie. Nam już tak nie zależy na silnej potrzebie uznania przez Amerykę, bo słusznie uważamy, że to już mamy. Przez minione dziesięciolecia nie robiliśmy nic innego, jak tylko podejmowaliśmy wysiłki o względy Ameryki, co ta skrzętnie wykorzystywała, choćby w wysokich cenach sprzętu wojskowego. Teraz, podobnie jak w przypadku bilansu z UE, chcemy spojrzeć wstecz, zobaczyć, gdzie popełniliśmy błędy, czy nie byliśmy zbyt nadgorliwi. To nie jest z naszej strony zdrada.

> STANY ZJEDNOCZONE MAJĄ DŁUGĄ TRADYCJĘ WSPÓŁPRACY Z PAŃSTWAMI, W KTÓRYCH OPINIA PUBLICZNA DALEKA JEST OD MIŁOŚCI DO USA, ALE WASZYNGTON SIĘ NA NIE NIE OBRAŻA.

Nie uważamy także, by nakładać na siebie obowiązek obrony autorytetu USA czy jego prezydenta, kiedy to sam prezydent tego mocarstwa swoimi publicznymi wypowiedziami i wpisami ów autorytet demoluje. Polscy politycy czy część prawicowych publicystów nie naprawi wizerunku przywódcy Stanów Zjednoczonych, nawet gdy bardzo tego pragną.

Jest jeszcze jeden ważny aspekt w trudnych relacjach między nastolatkiem tuż przed osiągnięciem wieku dojrzałości a rodzicami – on dalej od nich zależy, nadal jest na ich utrzymaniu, on wciąż ich potrzebuje. Polacy potrzebują Stanów Zjednoczonych: strategicznie, militarnie i politycznie. Nadal od nich zależymy i akceptujemy to, że nasze relacje są asymetryczne, że jesteśmy w sytuacji podległości. Dokładnie tak jak w średniej adolescencji. Tego akurat nie podważamy. To istotne w aktualnej debacie o relacjach z Ameryką, gdyż pojawiają się głosy o podważaniu naszych strategicznych sojuszy, ruchach samobójczych, zwycięstwie Rosji i prowadzonej przez nią wojny informacyjnej.

Nie można wpadać w pułapkę, że jeśli nie we wszystkim zgadzamy się z Ameryką, to od razu jesteśmy przeciw niej. W ramach sojuszu można mieć zdanie odrębne. Stany Zjednoczone mają długą tradycję współpracy z państwami, w których opinia publiczna daleka jest od miłości do Wielkiego Brata, mimo to nie są za to karane, Waszyngton się za to nie obraża. W Polsce to dla nas nowa sytuacja, choć do europejskiego poziomu niechęci do Ameryki droga nad Wisłą jest daleka i wcale nie musimy nią iść.

Kończy się w naszym światku politycznym czas jasnego podziału na europejski antyamerykanizm lub daleko idący dystans wobec Waszyngtonu firmowany przez lewicę, PO i środowiska orbitujące wokół obecnie rządzącej koalicji a dziecięcym zachwytem nad Stanami Zjednoczonymi prezentowanym przez PiS i resztę prawicy. To przestaje być takie oczywiste, zaczynamy widzieć różne odcienie szarości, a sojusz jednak trwa.

eprasa.pl ec2e027efa

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Obrażeni na demokrację

To już pewne – 24 maja w Krakowie odbędzie się referendum ws. odwołania prezydenta i Rady Miasta. Aleksander Miszalski straszy chaosem i nawołuje do bojkotu oraz apeluje, by podjąć decyzję w „normalnym procesie wyborczym". Jak to się jednak ma do tak chętnie głoszonych przez niego wartości?

Niby polityczna hipokryzja nie powinna nikogo dziwić. Ba, sam dwa tygodnie temu pisałem na łamach „TS" o tym, jak z hukiem (a może właśnie w ciszy?) upadła narracja KO dotycząca neosędziów i Trybunału Konstytucyjnego. Tego samego, którego władza – wiele na to wskazuje – ma zamiar przejąć przy użyciu policji. O tym pewnie też napiszę w jednym z kolejnych felietonów, ale teraz wróćmy do Krakowa.

Nieco zabawne jest obserwowanie wszystkich fikołków i szpagatów w wykonaniu tych, których mądrość etapu zmusiła chwilowo do zaprzeczenia temu, co wcześniej sami głosili. Aleksander Miszalski pod tym względem nie jest ani pierwszy, ani na pewno nie ostatni. Ot, polityka. Nie zmienia to jednak faktu, że warto wypunktować tę polityczną hipokryzję, choćby i dla samej idei.

Referendum w Krakowie staje się coraz poważniejszym problemem dla rządzących. I to nie tylko tych w stolicy Małopolski, ale i tych w Warszawie. Na początku Miszalski próbował z niego kpić, jednak dość szybko dostrzegł, że to nie przelewki. Prezydent Krakowa ruszył więc do desperackiego kontrataku, by z jednej strony wycofywać się z najbardziej kontrowersyjnych decyzji, a z drugiej – pompować swoją propagandę. To jednak nie przyniosło oczekiwanego rezultatu i za kilka tygodni dojdzie do arcyciekawego starcia.

Miszalski czuje, że pętla na jego szyi się zaciska, dlatego zaapelował o zbojktowanie referendum. I tu przechodzimy do clou. Przez lata słyszeliśmy od niego i jego partii tyrady na temat tego, jak ważna jest demokracja i uczestnictwo w wyborach. Ba, mieliśmy nawet różnego rodzaju akcje profrekwencyjne. Wystarczyło jednak, by referendum dotyczyło odwołania kogoś z KO i nagle pstryk – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – zmieniła się cała narracja. Teraz Miszalski mówi o grożącym chaosie i destabilizacji oraz apeluje, by Krakowianie podjęli decyzję w „normalnym procesie wyborczym". Tu mała lekcja: panie prezydencie, to właśnie referendum jest kwintesencją demokracji i procesu wyborczego.

Argumenty Miszalskiego nie są oczywiście nowe. Podobnych przed laty używała w Warszawie Hanna Gronkiewicz-Waltz i kilku innych włodarzy. To sprytna gra na demobilizację, bo trzeba frekwencji na poziomie 3/5 z wyborów samorządowych, by referendum było ważne. W tym wypadku to 155 tys. osób. 24 maja przekonamy się, czy Miszalski ocali stanowisko, czy też nie. Jedno jest jednak pewne – to referendum o znaczeniu ogólnokrajowym. I Donald Tusk doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

eprasa.pl ec2e027efa

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Zbigniewa Herberta przedstawiać nikomu nie trzeba. Przypomnieć jednak warto, że najważniejszy polski poeta drugiej połowy XX stulecia **wybrał w wolnej Polsce** akurat „Tygodnik Solidarność”. I to właśnie u nas publikował najchętniej. W nr. 46 (321) z 11 listopada 1994 r. ukazał się mocny wywiad, w którym „Pan Cogito” dosadnie dał do zrozumienia, gdzie stoi w sporze o Polskę. Przypominamy go z okazji 45-lecia „TySola” wszystkim – i starszym, którzy mogli zapomnieć, i młodszym, którzy nie mieli szansy się dowiedzieć.

Pojedynki Pana Cogito

Ze Zbigniewem Herbertem rozmawiają Anna Poppek i Andrzej Gelberg.

– Blisko dziesięć lat temu Jacek Trznadel, robiąc z Panem wywiad do „Hańby domowej”, rozpoczął od stwierdzenia: „Rozmawiamy 9 lipca 1985 roku”. Zachowajmy tę tradycję. Jest 27 października 1994 r., pojutrze kończy Pan siedemdziesiąt lat i po tekście „Armia”, zamieszczonym w „Tygodniku Solidarność”, oczekuje Pan sekundantów.

– Jaruzelski w szpitalu, Kiszczak po dwóch zawałach, Kołodziejczyk, jak można podejrzewać, na pewno wykręci się funkcją. Mam nadzieję, że w Drawsku zrobią więc kolejne posiedzenie i wydelegują jakiegoś odważnego generała – na stracenie.

– Bardzo Pan pewny siebie.

– Mam doświadczenie, w młodości pojedynkowałem się dwukrotnie. Raz poszło o kobietę...

– Narzeczoną?

– Skąd, nawet jej nie znałem, ale w mojej obecności jakiś typ ją obraził. Nie miałem wyjścia, wyzwałem go na pojedynek.

– Na pistolety?

– Wybór broni należał do przeciwnika, a ten zażądał szabli. Sekundanci uzgodnili, że będziemy się bili do trzeciej krwi. Całą noc nie spałem. Nie ze strachu – bałem się, że zaśpię. Mieliśmy się bowiem potykać o szóstej rano w Lasku Bielańskim. Dwa razy on mnie zahaczył, ale ja o mało co nie odrąbałem mu ucha. Jak się okazało, był zawodowym oficerem, ja natomiast szablę trzymałem w ręku pierwszy raz w życiu, tak że wynik okazał się wcale niezły.

– Pojedynek to sprawa honorowa. Dziś słowo „honor”, podobnie jak pojedynki, zupełnie wyszło z mody.

– Urodziłem się i wychowałem w II Rzeczypospolitej. Tamto dwudziestolecie (nie tylko w sprawach honoru czy pojedynków) jest dla mnie okresem wzorcowym, do którego odnoszę wszystko to, co zdarzyło się później. Bo z życiem jest trochę tak, jak z robieniem na drutach; nową nitkę trzeba wiązać z pozostałą ze starego kłębka. Gdy człowiek schodzi do grobu, powinien mieć swój sweterek skończony. Musi zdawać sobie sprawę z tego, jak życie utkał, które fragmenty są ze skazą, a które bardziej udane. Ważne jest, żeby miał pełen obraz własnego życia, a także narodu czy społeczeństwa, w którym je spędził.

– Mówi Pan o nitce pamięci II Rzeczypospolitej. Większość dorosłego i świadomego życia spędził Pan jednak w PRL.

– Wtedy, muszę przyznać, nie miałem nici. Coś się stało – pękła, zetlała... Zacząłem więc sam snuć coś, co naśladowało nić, żeby jakoś ciągnąć to życie. Od początku zdawałem sobie sprawę, że jest to kolejna okupacja: twarda, ciężka, chamska, krwawa. Ci, którzy nie powąchali wcześniejszej władzy sowieckiej, mieli idealistyczne wizje, że „wyzwolicieli” nakryjemy czapkami. Strasznie dużo potrzeba by tych czapek i wróg musiałby być niegroźny. Potem „Radosław” wydał nieszczęsny rozkaz ujawnienia się. Byłem przeciwny. Dlaczego konspiracja miałaby ujawniać się wobec kolejnego

eprasa.pl ec2e027efa



Fot. T. Gutry

wroga? Uważałem, że ta decyzja opiera się na niebezpiecznych złudzeniach, które doprowadzą do śmierci dziesiątków tysięcy młodych ludzi. [...]

– W tamtym okresie komuniści trzymali w jednej ręce nagan, lecz w drugiej smakowitą marchewkę...

– Owszem. Na przykład znaczną część placówek dyplomatycznych obsadzili pisarzami, jak Przyboś, Miłosz, Pruszyński i inni, choć ten ostatni nigdy nie ukrywał, że nie jest wielkim amatorem komunistów, raczej margrabiego Wielopolskiego. Przedtem musieli oni przejść oczywiście „próbę ognia". Nasz Noblista np. pisywał felietony w prasie codziennej. Tylko strach może zmusić zdrowego na ciele i umyśle mężczyznę – do takich ekscesów, konformizmu i kłamstwa. Odradzałbym „Arce" publikowanie tych tekstów. Argumenty: wiek, był moim mistrzem. Tego się nie zapomina – dług wdzięczności na wieki.

– Zaskakująca spolegliwość! Kiedy Pan poznał Miłosza?

– W 1958 roku w Paryżu. Był on wtedy najsympatyczniejszym i najbiedniejszym poetą wielkiej klasy. Z Miłoszem przeżyłem liczne, niekończące się pijaństwa, tanim winem oczywiście, i rozmowy, które mi bardzo dużo dały. Jest on o pokolenie ode mnie starszy. Spotykaliśmy się przynajmniej dwa razy w tygodniu, mieszkał pod Paryżem, rozstawaliśmy się około północy, wraz z ostatnim pociągiem. Po „wybraniu wolności" Miłosz trafił podwójnie źle. Paryż był wówczas całkowicie lewicowy i sytuacja Miłosza była dwuznaczna: bo choć jeszcze w czasie okupacji przywdział kostium lewicowca, to potem zdradził ojczyznę socjalizmu. Wszyscy z wyjątkiem Camusa traktowali go z dystansem, ale wydawali mu książki. Za jedną dostawał sto franków czy coś koło tego. Miał żonę, dwoje dzieci, było mu bardzo ciężko. Uratował go wyjazd do Ameryki, gdzie znalazł posadę. [...]

– Potem spotkał się Pan z nim dopiero w USA.

– Był to 1968 czy 1969 rok. Powiedział mi – na trzeźwo – że trzeba przyłączyć Polskę do Związku Radzieckiego. Ja na to: „Czesiu, weźmy lepiej zimny tusz i chodźmy na drinka". Myślałem, że to żart czy prowokacja. Lecz gdy powtórzył to na kolacji, gdzie byli Amerykanie, którym się to nawet bardzo spodobało – wstałem i wygarnąłem. Takich rzeczy nie można mówić – nawet żartem. [...]

NIEPODLEGŁOŚĆ DOSTALIŚMY W PREZENCIE OD HISTORII, ZA WOLNOŚĆ NIE ZAPŁACILIŚMY ANI KROPLI KRWI.

– Powiedział Pan kiedyś, że w tamtych latach nie wierzył Pan, iż dożyje końca komunizmu. Historia nas jednak zaskoczyła: przyszedł rok 1989. Nie było jednak tak jak w 1918 roku carmagnoli na ulicach.

– Sam zastanawiałem się, dlaczego budząc się co dzień ze świadomością, że żyję w niepodległym kraju – odczuwam pewien dyskomfort. Myślę, że wynika to stąd, że nie wywalczyłem tego. Niepodległość dostaliśmy w prezencie od historii,

eprasa.pl ec2e027efa

za wolność nie zapłaciliśmy ani kropli krwi. Odbyło się to tak, jakby komuniści nagle zmądrzeli i powiedzieli: „Już dalej nie będziemy robili tych wszystkich świństw, eee, tam, chodźmy lepiej na wódkę...". Jak Polak z Polakiem. Jeśli jednak ktoś rzeczywiście walczył o tę niepodległość – to była Armia Krajowa przez długich 5 lat, której wysiłek określono wraz z Powstaniem Warszawskim – jako daremny i politycznie niesłuszny. A także polskie oddziały walczące w lasach już po „wyzwoleniu". A jeszcze ci, co ginęli w lochach i kazamatach bezpieki. Mam nadzieję, że zabrzmiało to dostatecznie faszystowsko.

NASZ NOBLISTA NP. PISYWAŁ FELIETONY W PRASIE CODZIENNEJ. TYLKO STRACH MOŻE ZMUSIĆ ZDROWEGO NA CIELE I UMYŚLE MĘŻCZYZNĘ – DO TAKICH EKSCESÓW, KONFORMIZMU I KŁAMSTWA.

– Na początku nie było radości, a potem poszło krzywo. Czy do wolności nie byliśmy przygotowani, czy komunizm jest chorobą, która się za nami wlecze?

– Trudno być analitykiem własnych szaleństw, a za nie przede wszystkim odpowiedzialne są elity. W czasach konspiracji, zarówno tej w latach stalinowskich, jak i późniejszych, nie było żadnej grupy ludzi, która zastanawiałaby się, jak zagospodarować Polskę po wyzwoleniu. W okresie okupacji, owszem, zbierali się profesorowie, fachowcy i tworzyli precyzyjne koncepcje odbudowy przyszłej Rzeczypospolitej. Genialny architekt Nowicki opracował na przykład świetny plan urbanistyczny Warszawy...

A my byliśmy całkowicie nieprzygotowani. Nie wierzyliśmy w zwycięstwo, choć gdzieś w duszy tkwiło przekonanie, że trzeba od czasu do czasu powalczyć. Co jednak robić po wygranej, jak potraktować pokonanego przeciwnika – o tym nie myślał nikt. No i ten nieszczęsny okrągłostołowy poród – nie zakończył się nawet cesarskim cięciem, lecz wymóżdżeniem płodu. To straszne porównanie, zaraz pewnie zaprotestuje pani Boba, ale coś w tym jest. Ja sam czułem wtedy ucisk tych kleszczy na własnej czaszce.

– Za stan obecny odpowiedzialne są nie tylko elity polityczne. Jak Pan stwierdził, nieprzygotowane do sprawowania rządów, ale także elity intelektualne. Przed kilku laty postawił im Pan ciężkie, prokuratorskie zarzuty, że w okresie stalinowskim kierowały się strachem, pychą i interesownością. Stwierdził Pan też, że tylko dlatego potem ludzie ci przeszli do opozycji, że zostali przegnani z dworu Gomułki, który nie lubił inteligentów. W opublikowanym rok temu w „Tygodniku Solidarność", tuż po wyborach 19 września artykule pt. „Wierność" nazwał Pan czasy po 1989 r. okresem zapaści semantycznej. Jest to inna nazwa zakłamania języka, o którym mówił Pan 10 lat wcześniej.

– Wielu z nas sądziło, że po 1989 roku, choć nie zbudujemy od razu raju na ziemi, to przynajmniej otrząśniemy się z dawnego kłamstwa. Nie było to możliwe, ponieważ ludzie elit, tłumaczący swe dawne postawy ukąszeniem Heglowskim (według mnie było to raczej ukąszenie Bermanem) nie stworzyli języka prawdy. A przecież podstawowym obowiązkiem intelektualisty jest myśleć i mówić prawdę. Za to społeczeństwo im płaci. Myśleć – to znaczy zastanawiać się nad tym, kim jesteśmy i jaka jest otaczająca rzeczywistość. Oznacza to, siłą rzeczy, odpowiedzialność za słowo. Dziś nikt nie jest w Polsce za nie odpowiedzialny. Doszło do tego, że nikt się za nic nie obraża; można Szczypiorskiego nazwać potworem konformizmu i mistrzem banału, a po nim spływa jak po psie, można z dezynwolturą nazwać Jaruzelskiego bohaterem, a Kuklińskiego zdrajcą. Jest to spadek po marksizmie z jego przewrotną dialektyką i logiką. W logice tradycyjnej mówi się: jeśli p, to nie q; w marksizmie zaś: jeśli p, to nie p. [...]

– Po wywiadzie z Jackiem Trznadlem zaczęły się na Pana ataki. Pański przyjaciel, Adam Michnik, ubolewał, że z pozycji olimpijskich – jak w „Potędze smaku" – zszedł Pan do trywialnej jednoznaczności. Od tego czasu tak zwane środowisko lewicowej opozycji laickiej, dziś skupione wokół „Gazety Wyborczej", wyraźnie dystansuje się od Pańskiej osoby i do Pańskiej twórczości.

– Z Michnikiem bardzo się przyjaźniłem. Teraz jest to dla mnie zamknięta historia. Dlaczego nasza przyjaźń się skończyła? Otóż, przestałem rozumieć meandry jego myślenia, wierzyłem w jego intelekt, a także w zwykłą uczciwość – zawiodłem się. Nie rozumiem, dlaczego tylu moich znajomych oburza, gniewa, irytuje Michnik. Jest on klasycznym przykładem kariery komunistycznego DYZMY. Smutna historia wyjątkowo uzdolnionego, pełnego talentu chłopca, który doszedł do lat, kiedy to ludzie natarczywie pytają: „co on właściwie zrobił z całą swoją heroiczną młodością?". A on stacza się po równi pochyłej, w gorączkowy aktywizm. Cy-

eprasa.pl ec2e027efa

nizm godny admiratora „Księcia” i najpospolitszy nihilizm. Zawiódł niemal wszystkich swoich przyjaciół, został wierny konfekcji. Nosi dalej blujeansy, jakby dla podkreślenia, że nadal przyświeca mu cnota ubóstwa. Napisał ongiś książkę o Kościele i lewicy oraz szkice o współczesnej literaturze polskiej; naiwne, żarliwe – ujmujące. Teraz jest już tylko w swojej papierowej cytadeli otoczony grupą zapalonych wyznawców i wyznawczyń. Słyszałem „młodego”, bo zale-

PODSTAWOWYM OBOWIĄZKIEM INTELEKTUALISTY JEST MYŚLEĆ I MÓWIĆ PRAWDĘ. OZNACZA TO, SIŁĄ RZECZY, ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA SŁOWO. DZIŚ NIKT NIE JEST W POLSCE ZA NIE ODPOWIEDZIALNY.

dwie 40-letniego chłopca, kiedy mówił, że kocha Michnika i poszedłby za nim w ogień. Równo 40 lat temu słuchałem innego chłopca, który kochał Piaseckiego – wodza PAX. Tak więc nowy, groźny schemat: charyzmatyczny wódz, zaślepieni wyznawcy.

– Z czego biorą się takie postawy?

– To chyba zapisane jest w genach...

– Jak Pan zatem wytłumaczy fenomen, że formacja skażona totalitarną wypustką w genach dziś masowo wyznaje liberalizm? Czy to autentyczna przemiana, czy kolejny dowód zakłamania?

– W Ameryce w latach 30. liberałami byli w rzeczywistości komuniści i kryptokomuniści. Dziś wydaje mi się, że liberalizm to najbardziej banalne i najbardziej wulgarne słowo ze współczesnego polskiego słownika politycznego, gdyż usprawiedliwia każdy leseferyzm: i gospodarczy, i moralny. Jest to kolejny wybieg służący do zamazywania pojęć.

– Czy obecne źródła zapaści semantycznej nie biorą się przede wszystkim z doraźnej polityki, świadomej próby zatarcia różnic między III RP a Peerelem?

– Za to zatarcie różnic odpowiedzialne są nie tylko nowe elity, ale te dawno utworzone. Ich hierarchia utrzymuje się do dziś. Są to elity zawodowe, nawet po śmierci: elity trupów. Na przykład Andrzejewski uważany jest nadal za najwybitniejszego powojennego pisarza, choć według mnie jest ledwie przeciętny, a „Popiół i diament” to książka wręcz haniebna. [...]

– Wśród majętnych ludzi, a zwłaszcza ich żon, rozpoczęła się niedawno moda na zapraszanie do swych pałaców malarzy, poetów, rysowników.

– Bardzo mi się to nie podoba. To najgorsze, co może spotkać ubogiego artystę – przez dwa tygodnie kawior i szampan, a potem znów bar mleczny. Wyobrażam sobie tego młodego poetę, jak cedzi przez zęby strofy swego wiersza, patrząc z nienawiścią na otaczający go przepych i tłustą gospodynię, całą w brelokach...

– Nuworysze mogą narzucać przemijające mody, ale nie staną się autorytetami. A może nie są dziś w Polsce potrzebne autorytety?

– Historia rzadko obdarza narody przywódcami z prawdziwego zdarzenia. W przedwojennej Polsce był Piłsudski, później już nikt, no bo kto: Bierut, mali czynownicy? Należy jednak zrobić wszystko, by odbudować imponderabilia i autorytety. Ich brak bowiem to dla losów narodu śmiertelne zagrożenie. Nie będzie to łatwe, liberałowie nie znoszą autorytetów.

– Doświadczenie komunizmu było dla nas dramatycznym, strasznym przeżyciem. Czy bez ekspiacji jest szansa wyleczenia z tamtej choroby?

– Praktyka wykazała, że wszystkie ciemne plamy historii wcześniej czy później wyłażą spoza pozłotki. Tak było we Francji, w USA. Należy borykać się ze swą przeszłością, podobnie jak zrobili to Niemcy po II wojnie światowej. Była to ogromna, masochistyczna praca, ale udało się im wyzwolić ze strasznych kompleksów hitleryzmu, pokazać światu obraz nowoczesnych Niemiec.

– Co będzie z nami, skoro się nie leczymy?

– Obawiam się, że zupełnie zidiociejemy. Nie wiem, czy już nie jest na to zbyt późno, ale powinniśmy rozpocząć nowoczesną edukację narodową – bez kompleksów. Sytuację bowiem mamy komfortową, brak poważniejszych zagrożeń zewnętrznych. Jedyne, co stoi na przeszkodzie, to nasze powszechne wady: zakłamanie, zakochanie w sobie, megalomania. To narcyzm ludzi ubogich, odtrąconych przez możnych tego świata. Wielką pracę samokształceniową – jasne zdanie sobie sprawy z naszych win i ułomności – należałoby rozpocząć od szkół, od napisania nowych podręczników, w których precyzyjnie określimy, kim jesteśmy. Sam byłem i jestem zwolennikiem lustracji i będę domagał się jej jako obywatel. Przypuszczam jednak, że z niewielkim skutkiem. [...]

Fragment rozmowy, która ukazała się w nr. 46 (321) „TS” 11 listopada 1994 r.
Pełna jej treść jest dostępna na portalu Tysol.pl.

eprasa.pl ec2e027efa

KARUZELA BLOGERAMI

JAKUB ZGIERSKI („MŁOT NA MARKSIZM")

NAUCZYCIEL DOWÓDCĄ KOMPANII SAPERÓW?

27 marca na Kanale Zero pojawił się reportaż, który do reakcji zmusił samo Ministerstwo Obrony Narodowej. W materiale wystąpił nauczyciel, który padł ofiarą niezrozumiałej decyzji Wojskowego Centrum Rekrutacji.

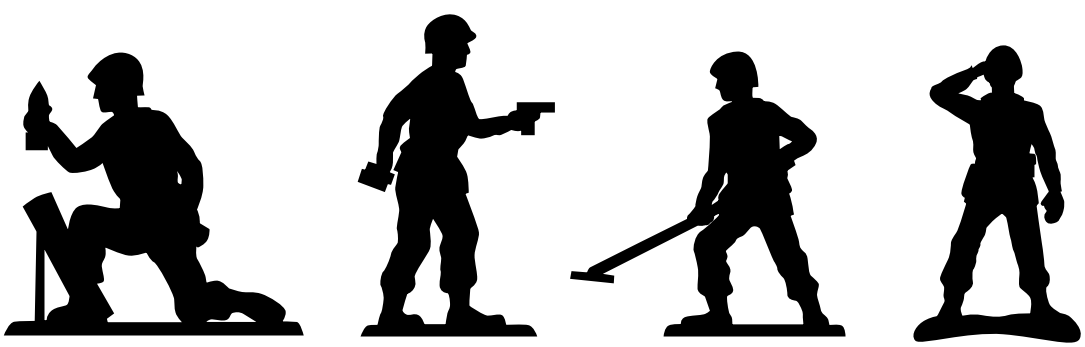
Historia Dariusza Rozwadowskiego, nauczyciela historii i trenera piłki nożnej, to jaskrawy przykład biurokratycznego absurdu. Mężczyzna przecierał oczy ze zdumienia, gdy w swojej karcie mobilizacyjnej przeczytał, że w razie konfliktu ma objąć dowodzenie nad kompanią saperów, czyli oddziałem liczącym od 100 do 150 ludzi. Choć powierzono mu tak odpowiedzialną funkcję, pan Dariusz jest zaledwie kapralem, a jego całe doświadczenie wojskowe sprowadza się do sześciotygodniowego kursu sprzed niemal 20 lat.

Mimo oczywistych braków w przygotowaniu do dowodzenia specjalistyczną jednostką wojskowi urzędnicy nie widzieli problemu i wykluczyli jakiekolwiek ćwiczenia doszkalające. Rezerwista, uznając, że taka decyzja stanowi realne zagrożenie dla życia przyszłych podwładnych, próbował interweniować w Wojskowym Centrum Rekrutacji. Gdy tamtejsi urzędnicy zignorowali jego argumenty, zdecydował się na odważny krok: złożył oficjalne oświadczenie o braku kompetencji i skierował sprawę do Rzecznika Praw Obywatelskich, alarmując o patologii w systemie przydziałów.

„Nauczyciel historii dostał wezwanie do wojska. Miałby dowodzić... jednostką saperów. Tylko że on nie ma o tym pojęcia. Co za historia" – w takich słowach Krzysztof Stanowski streścił reportaż, który odbił się szerokim echem w mediach, o czym najlepiej świadczy stanowisko opublikowane przez Ministerstwo Obrony Narodowej. Oficjalny profil resortu wkleił to samo wyjaśnienie pod wszystkimi wpisami dotyczącymi przypadku pana Dariusza. Trzeba przyznać, że zaprezentowany sposób argumentacji wydaje się dość kuriozalny.

MON zaczęło od prostowania faktów, których nikt nie kwestionował, zaznaczając, że pan Dariusz nie ma dowodzić pułkiem, a „jedynie" kompanią – co w oczach urzędników zdaje się umniejszać skalę problemu. Resort określił przymusowy przydział mobilizacyjny mianem „propozycji" i przekonywał, że jest on w pełni merytoryczny. Co więcej, doszło do nagłej zmiany frontu: o ile wcześniej rezerwista słyszał, że nie ma odwołania od wydanej decyzji, o tyle teraz ministerstwo zadeklarowało, że przecież można zamienić stanowisko na inne, zgodne z posiadanymi kompetencjami.

W odpowiedzi Dariusz Rozwadowski punkt po punkcie obnażył luki w narracji MON. Przede wszystkim zaznaczył, że karta mobilizacyjna nie jest żadną „propozycją", lecz wiążącą decyzją administracyjną, za której zignorowanie w czasie wojny grozi surowa kara więzienia. Nauczyciel odniósł się również do kwestii swoich rzekomych kwalifikacji, tłumacząc, że „specjalność" sapera nadano mu losowo 20 lat temu po zaledwie sześciotygodniowym kursie, co w żadnym stopniu nie przygotowało go do realnych działań polowych. Jak podsumował, uznawanie tej sytuacji przez resort za „prawidłową" jest po prostu niebezpiecznym zaklinaniem rzeczywistości.



Rys. Adobe Stock

eprasa.pl ec2e027efa

HISTORIA TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Wydanie Specjalne nr 1/2026:

Solidarność i wolność słowa. 45 lat „Tygodnika Solidarność”



Ponad 100 stron poświęconych wolności słowa i niezależnej prasy związanej z Solidarnością

Sylwetki redaktorów naczelnych

Jak SB rozpracowywała redakcję?

Wydanie Specjalne do kupienia na: solidarnosc.sklep.pl oraz w wybranych salonach prasowych

eprasa.pl ec2e027efa

KOALICJA albo zdrowie

W huku codziennych wielkich politycznych sporów, obok rozpalających opinię publiczną afer obyczajowych i sporów prawniczych i kompetencyjnych **trwa dramat** państwowej służby zdrowia i jej pacjentów. Ze zdrowiem Polska problemy ma od zawsze, jednak za rządów liberałów urastają one do największych rozmiarów. Państwo przyjmuje wobec obywateli postawę całkowicie obojętną, a w tle odbywa się pełzająca, ukryta prywatyzacja usług medycznych. Równocześnie uwagę opinii publicznej próbuje się odwrócić rzekomym skandalem związanym z zakupem szczepionek na COVID-19.

Krzysztof Karnkowski

Chyba tylko dlatego, że Szymon Hołownia stracił ostatnio znaczenie w polskiej polityce, nie przypominamy już sobie codziennie obietnicy złożonej przez niego w kampanii wyborczej. „Każdy z was będzie miał lekarza, który będzie dzwonił i sprawdzał, czy jesteście zdrowi" – zapowiadał Hołownia, by później ze słów tych nie tylko się wycofać, ale nawet je wyśmiać. Lekarze jednak faktycznie w zeszłym roku zaczęli dzwonić do niektórych osób niestety po to, by informować o przekładaniu na później zabiegów, na które zabrakło funduszy.

Prima aprilis

„Szpitale w całej Polsce ograniczają przyjęcia nowych pacjentów, w tym chorych onkologicznie. Powodem są wyczerpane limity finansowania przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Część planowych zabiegów zostaje przełożona nawet na 2026 rok. Sytuacja budzi niepokój zarówno wśród pacjentów, jak i lekarzy" – informował portal rmf24.pl na początku listopada zeszłego roku. Rzecznik Naczelnej Rady Lekarskiej Jakub Kosikowski



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl ec2e027efa

tłumaczył wówczas, że kilkumiesięczny brak wypłat środków z NFZ wymusił na szpitalach ustanowienie własnych limitów. Przy rosnącej z roku na rok luce w finansach funduszu, odbijającej się coraz mocniej na jego funkcjonowaniu, rząd wielokrotnie powracał do pomysłów obniżenia składki zdrowotnej, co jednak budziło kontrowersje w samej koalicji. Zwłaszcza gdy niektóre rozwiązania szły w kierunku daniny regresywnej, co miało być aktem sprawiedliwości dziejowej po krzywdach, które przedsiębiorcom i lepiej zarabiającym wyrządzić miały reformy rządu Mateusza Morawieckiego. Wróćmy jednak do sytuacji z jesieni. Władze zapowiedziały likwidację części porodówek i przeniesienie rodzących pacjentek na SOR-y. Ta decyzja miała być karą za zbyt niską dzietność w poszczególnych miejscowościach, w których dotąd funkcjonowały oddziały ginekologiczno-położnicze. Głośno stało się o porodówce w Lesku, w efekcie faktyczną likwidację oficjalnie przedstawiono jako remont. Cóż z tego, placówka nie działa. 1 kwietnia ogłoszono zamknięcie wzorcowej porodówki w Brzezinach. Dla pracowników była to wiadomość tak absurdalna, że początkowo uznali ją za żart primaaprilisowy. Niestety, jednak nikt nie żartował, choć chodziło tu o placówkę modelową, stawianą za wzór i nagradzaną w tematycznych akcjach społecznych. To jednak nie koniec. „Skierowanie do lekarza specjalisty w trybie zwykłym jest bez sensu, bo nie da się w nim dostać, więc rekordowo rośnie z kwartału na kwartał liczba skierowań w trybie pilnym, bo lekarze już wiedzą, że musi [na skierowaniu] być tryb pilny, żeby w ogóle się dostać [...]. Jak wszystkie skierowania będą wystawiane w trybie pilnym, trzeba będzie wymyślić skierowania w trybie arcypilnym, żeby odróżnić te naprawdę pilne od tych prawie pilnych. Proste? Proste" – alarmował, również w listopadzie Krzysztof Stanowski. Ze zbierającego doniesienia z całego kraju komentarza szefa Kanału Zero można było dowiedzieć się również o braku funduszy na leki, zaciąganiu przez szpitale chwilówek i innych wołających o pomstę do nieba sprawach. Bez strat sondażowych udało się dotrwać do końca roku, pojawiły się nowe pieniądze i można było przez chwilę wierzyć, że jakoś to będzie. Tyle że jednak nie jest.

> PRZY ROSNĄCEJ Z ROKU NA ROK LUCE W FINANSACH FUNDUSZU RZĄD WIELOKROTNIE POWRACAŁ DO POMYSŁÓW OBNIŻENIA SKŁADKI ZDROWOTNEJ.

Piekło kobiet

„Nie ma miesiąca, byśmy nie poznali nowego rządowego planu oszczędności na zdrowiu. Nie ma tygodnia, aby media nie donosiły o kolejnych zamykanych oddziałach szpitalnych. Nie ma wreszcie dnia, by pacjenci nie umierali w kolejkach do lekarza. [...] Warto nazywać rzeczy po imieniu. To, że Donald Tusk postanowił oszczędzać na systemie ochrony zdrowia, skutkuje zgonami Polaków. To, że «ekspercka» minister



eprasa.pl ec2e027efa

zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda specjalizuje się w nagrywaniu filmików na media społecznościowe, a nie w walce o pieniądze na leczenie ludzi, skutkuje zgonami Polaków. To, że obrotowy prezes Narodowego Funduszu Zdrowia Filip Nowak jest rzecznikiem rządzących polityków, a nie pacjentów, skutkuje zgonami Polaków" – pisze na portalu zero.pl Patryk Słowik. Ale i media, które w większości spraw sympatyzują z rządem, zaczynają widzieć problem. „[...] szpitale toną w długach. W niektórych miejscach kryzysy finansowe są tak głębokie, że w namacalny sposób dotykają pracownic i pracowników. W podkarpackim Lesku na początku miesiąca personel otrzymał od pełniącego obowiązki dyrektora Mirosława Leśniewskiego pismo, zgodnie z którym wynagrodzenia za luty ograniczono do 75 proc. wysokości. Reszta? Zostanie wypłacona po pozyskaniu środków przez pracodawcę" – informowała czytelników OKO.Press Oliwia Gęsiarz. Feministka Maja Staśko, jako jedna z niewielu przedstawicielek tego środowiska, zwracała uwagę na sytuację kobiet na łamach „Gazety Wyborczej": „Za PO odbiera się rodzącym z mniejszych miejscowości dostęp do porodówek i specjalistów, na górze widzimy tylko pogardę i protekcjonalne zbywanie naszych lęków. Te histeryczne baby wymyślają sobie, przesadzają, nic nie rozumieją, to pewnie ciążowe hormony! I to jest piekło kobiet". „W czterech szpitalach należących do spółki Szpitale Pomorskie, którą do momentu objęcia Ministerstwa Zdrowia zarządzała Jolanta Sobierańska-Grenda, świadczenia objęte limitami są przesuwane na kolejny rok. O ile tylko pozwala na to stan pacjenta. Także w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku coraz więcej pacjentów ma przesuwane leczenie na przyszły rok. Dzieje się tak między innymi na oddziałach kardiologii, kardiochirurgii, ortopedii i urologii" – to również „Wyborcza" w artykule Judyty Watoły z jesieni zeszłego roku.

Leszczynowa różdżka

Takie wiadomości pojawiają się każdego dnia. Jak wspomniałem, nowy rok nie przyniósł żadnej zmiany na lepsze. „Przez zaburzenia płatności z NFZ szpital w Skarżysku-Kamiennej przestaje leczyć 30 pacjentów ze stwardnieniem rozsianym – hurtownia nie chce im sprzedawać leków, bo nie płacą. A sąsiednie szpitale chcą przejąć maksymalnie 10 pacjentów..." – pisze na portalu X Jakub Kosik 7 kwietnia. Dzień później Paweł Buczkowski z Wirtualnej Polski przynosi kolejne złe wieści. „Jeśli ktoś zastanawiał się, co wydarzy się po 1 kwietnia, kiedy NFZ wprowadził nowe zasady rozliczeń badań ponad limit np. rezonansem, to już wiadomo. Pacjenci z dnia na dzień dowiadują się, że ich badania nie będzie w wyznaczonym terminie. Szpital w Puławach ma nowiutki sprzęt (za około 5 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości), na którym wykonywał nawet 800–900 badań rezonansem miesięcznie. Teraz przebadać może zaledwie około 100 osób" – pisał dziennikarz, zapowiadając na X swój tekst dla wp.pl. Trudno więc się dziwić, że opozycja podchwytuje temat i domaga się dymisji minister zdrowia. Jolanta Sobierańska-Grenda Izabelę Leszczynę zastąpiła na tym stanowisku w trakcie zeszłorocznej letniej rekonstrukcji rządu. Leszczyna została zapamiętana nie tylko z tego, że dzielnie biła się z Barbarą Nowacką i Pauliną Hennig-Kloską o tytuł najgorszej ministrer w rządzie Donalda Tuska, ale i z kilku swoich wypowiedzi, które źle się zestarzały. „Problemy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tak!" – reklamowała przyszłe rządy swej partii Leszczyna w roku 2022, by dwa lata później odkryć, że: „Nie da się za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienić wszystkiego od razu, chociaż bardzo bym tego chciała". Jej następczyni mówi mniej, choć chętnie pokazuje się w mediach społecznościowych, ale czy dotrwa do końca kadencji?

> „PROBLEMY ZNIKNĄ JAK ZA DOTKNIĘCIEM CZARODZIEJSKIEJ RÓŻDŻKI, TAK!" – REKLAMOWAŁA PRZYSZŁE RZĄDY SWEJ PARTII IZABELA LESZCZYNA W ROKU 2022.

Czarna seria

Politycy koalicji rządzącej mieli ostatnio całą serię niefortunnych wypowiedzi i zdarzeń związanych ze służbą zdrowia. Wiesław Szczepański z lewicy nie tak dawno namawiał kolegów – parlamentarzystów, by w razie potrzeby zgłaszali się do niego jako osoby zarządzającej szpitalem MSWiA. Tym samym, o którym głośno było ostatnio w związku z wykonywaniem poza kolejnością operacji raka trzustki dla darczyńców przyszpitalnej fundacji. Po Wielkiejnocy media ujawniły, że polityk PO Tomasz Lenz miał doprowadzić do przeprowadzenia poza

eprasa.pl ec2e027efa

szpitalnymi procedurami operacji swojego syna. Ta wiadomość przebiła się nawet do tak prorządowych mediów jak TVN24, a sprawą ma zająć się klub senacki KO. Z kolei nadzorujący pracę kolegów minister Maciej Berek w jednej z radiowych rozmów stwierdził, że korzystanie ze świadczeń poza przewidzianym limitem jest... nieuczciwe ze strony pacjentów i właśnie to powoduje konieczność zmniejszenia kwoty refundacji do 50%. Ministerstwo oszczędności szuka wszędzie, a kolejne usługi można zrobić już tylko prywatnie albo wcale. I tak powraca prywatyzacja służby zdrowia, temat dla Platformy zawsze kłopotliwy, lecz tym razem wprowadzany tylnymi drzwiami jako konieczne, oddolne remedium.

Szczepionkowy kontratak

Rządzący próbują wykreować kontrnarrację dla niedającego im zbyt wielu możliwości obrony obrazu zapaści służby zdrowia. Z pomocą przyszedł im belgijski sąd, który nakazał Polsce odebranie zamówionych 64 mln dawek szczepionki przeciwko COVID-19 i zapłatę ponad 5,6 mld zł. Szczepionek tych nie przyjęliśmy w 2022 roku, uzasadniając to zmianą naszej sytuacji w związku z wybuchem wojny na Ukrainie, sąd jednak argumenty te odrzucił. Politycy Koalicji 13 grudnia natychmiast ruszyli z falą oskarżeń swoich poprzedników o zmarnotrawienie pieniędzy i zamówienie zbyt dużej liczby preparatów. Problem tej narracji leży jednak w tym, że wówczas to opozycja naciskała na rząd, by zamawiać jak największą ilość szczepionek, a UE nie zostawiała w tej sprawie zbyt wiele pola do manewru. Ekipa Adama Niedzielskiego dokonywała więc zamówień pod naciskiem politycznym ze strony obecnych krytyków, co nie uszło uwadze internautów i komentatorów. Warto przy okazji przypomnieć, że politycy dawnej PO sami mają na swoim koncie inną wątpliwą sprawę związaną ze szczepieniami, o której dziś mało kto już pamięta. W czasie pandemii świńskiej grypy, w przeciwieństwie do innych krajów Unii Europejskiej, Polska nie zakupiła odpowiednich szczepionek, a następnie odkupiła z europejskich magazynów olbrzymie ilości preparatów przeciwko klasycznej grypie, wobec jej szalejącej wówczas odmiany całkowicie bezsilnych. Sprawa jednak przycichła, choć w książce „Afera grypowa" próbował nagłośnić ją ówczesny dziennikarz „Gazety Polskiej" i „Gazety Polskiej Codziennie" Artur Dmochowski. PiS po objęciu władzy nie powróciło do tego zagadnienia, a dziś, jako opozycja, ma już nowe szczepionkowe kłopoty. Z drugiej strony koalicji trudno będzie wykreować wrażenie, że pieniędzy nie wystarcza, bo kilka lat temu minister Adam Niedzielski wydał je na niepotrzebne produkty Pfizera. Minister, informująca dziś, na co można było wydać tamte pieniądze, zderza się z lawiną cytatów polityków Platformy z czasów pandemii. Zwłaszcza gdy każdy wie, że to nie tych pieniędzy brakuje w systemie w roku 2026.

> MINISTER MACIEJ BEREK W JEDNEJ Z RADIOWYCH ROZMÓW STWIERDZIŁ, ŻE KORZYSTANIE ZE ŚWIADCZEŃ POZA PRZEWIDZIANYM LIMITEM JEST... NIEUCZCIWE.

Dymisja nie wystarczy

– Pani Sobierańska-Grenda jest przykładem na to, jak można demolować jedną z najważniejszych płaszczyzn działania tego państwa – ochronę zdrowia. To jest ta pani, której marzeniem jest likwidacja 30 proc. szpitali. To jest ta pani, której marzeniem byłoby, żeby każdy płacił fakturę u lekarza, a później refundował ją sobie w NFZ, jeśliby się udało. Czyli to jest ta pani, która chciałaby prywatyzacji służby zdrowia – mówił Przemysław Czarnek, zapowiadając wniosek o odwołanie szefowej resortu zdrowia. Jednak praktyka rządów Platformy, dziś Koalicji Obywatelskiej, pokazuje, że to nie problem jednego ministra, a całego sposobu myślenia formacji liberalnej o państwowym systemie opieki zdrowotnej. Dlatego nadzieją będzie zmiana polityki, a nie osoby w danym sezonie politykę tę firmującą. Obyśmy tylko dożyli tych czasów we względnym zdrowiu!

> TO NIE PROBLEM JEDNEGO MINISTRA, A CAŁEGO SPOSOBU MYŚLENIA FORMACJI LIBERALNEJ O PAŃSTWOWYM SYSTEMIE OPIEKI ZDROWOTNEJ.

eprasa.pl ec2e027efa

Partia osobliwości

Wejście w tryb przedwyborczy przekształca formację Grzegorza Brauna w zbiorowisko dziwacznych postaci, które wracają do polityki niczym zombie. Drużyna spod znaku gaśnicy coraz wyraźniej **przekształca się w kamandę spod czerwonej gwiazdy** i dwugłowego orła.

Mariusz Staniszewski

To musiało nastąpić prędzej czy później. Pospolite ruszenie niezadowolonych i sfrustrowanych, aby nie zniknąć, zaczyna się przekształcać w partię polityczną, która ma być w stanie wystawić listy w wyborach do Sejmu. Jedyną twarzą nie może być już pirackie oblicze Grzegorza Brauna, bo on wystartuje tylko w jednym okręgu. Nawet jeśli pobije wszystkich rywali, to ciągle nie wystarczy, by przekroczyć próg wyborczy.

Wizerunek Brauna, kontrowersyjny, stanowiący połączenie groteski, kabotynizmu, happeningu i buntu, mógł być dla wielu przyciągający i dać



fot. Jacek Szydłowski / Forum

eprasa.pl ec2e027efa

mu dobry wynik w wyborach prezydenckich. Głosowanie do parlamentu to jednak coś całkiem innego. W maju i czerwcu zeszłego roku wybieraliśmy konkretnego człowieka. Za półtora roku listy trzeba będzie zapełnić ludźmi, którzy nie tylko będą mieć gaśnicę w klapie, ale przyciągną wyborców czekających na coś więcej niż tylko polityczny performance.

Dlatego teraz Konfederacja Korony Polskiej stanęła przed największym wyzwaniem w swojej historii. Stworzyć ekipę, która będzie miała przynajmniej kilkanaście osobowości na tyle wyrazistych i wiarygodnych, by obywatele chcieli oddać na nich głos. To już nie będzie zabawa jak w wyborach prezydenckich, gdy krzyżyk przy nazwisku Grzegorza Brauna można było postawić dla beki. Wiadomo było przecież, że do drugiej tury nie przejdzie, więc niebezpieczeństwo postawienia człowieka nieprzewidywalnego na szczycie władzy było żadne. To także nie traktowane przez Polaków po macoszemu wybory do Parlamentu Europejskiego, gdzie niewielka mobilizacja dała Braunowi mandat.

Teraz gra jest na poważnie. Prawdziwą politykę robi się w Sejmie, wszyscy to wiedzą, więc o głosy będzie znacznie trudniej.

Plejada upiorów

To są właśnie chwile prawdy dla każdej nowej formacji. Szymon Hołownia, który po dobrym wyniku w wyborach prezydenckich w 2020 roku zgłaszał wielkie ambicje, w 2023 roku wprowadził swoich ludzi do Sejmu tylko dzięki sojuszowi z PSL. Do tego – jak szybko mogliśmy się przekonać – była to ekipa tyleż mierna, co napędzana przez lobbystów.

Grzegorz Braun na wsparcie lobby odnawialnych źródeł energii, ekologów czy innych szaleńców klimatycznych liczyć nie może. Musi znaleźć zupełnie inną tożsamość i całkiem już wyraźnie widać, że ma ona zdecydowanie prorosyjski charakter.

Oczywistym dowodem na to jest zapowiedź wzięcia na listy Mateusza Piskorskiego. To były polityk Samoobrony, a następnie lider prokremlowskiej partii „Zmiana". W 2016 roku został zatrzymany przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji i Chin. Jego proces ciągle trwa, a on przebywa na wolności jedynie dzięki wpłaconemu poręczeniu majątkowemu.

O ile Piskorski to postać wyjątkowo odrażająca, to wyciągnięcie z czeluści niebytu Stanisława Tymińskiego jest raczej przejawem desperacji. Tymiński, który wszedł do drugiej tury wyborów prezydenckich w 1990 roku, ku zaskoczeniu środowiska „Gazety Wyborczej" pokonując Tadeusza Mazowieckiego, stał się raczej postacią śmieszną niż poważną. Chodził wówczas wszędzie ze swoją czarną teczką i w otoczce tajemnicy straszył, że ujawni kompromitujące materiały. Nic takiego się nie stało. Nie powiodło mu się także stworzenie Partii X, która w pierwszych latach po upadku komunizmu miała być czymś w rodzaju obecnej Konfederacji Korony Polskiej. Dziś Tymiński przyznaje, że w Rosji widzi przyjaciela.

Już sam fakt, że za męża stanu Tymińskiego uważa Wojciech Olszański, znany bardziej jako „Jaszczur", świadczy o tym, że mamy do czynienia gabinetem osobliwości. Ten popularny patostreamer, który kiedyś był całkiem obiecującym aktorem występującym nawet w Teatrze Narodowym, wprost nawołuje do sojuszu z Rosją i Białorusią. Nomen omen jego ostatnim wcieleniem aktorskim była postać czerwonoarmisty w filmie „Bitwa Warszawska 1920".

Na listach najpewniej znajdzie się także Tomasz Sommer, redaktor naczelny i współwłaściciel tygodnika „Najwyższy Czas!". Sommer znany jest z wyjątkowo antyukraińskich poglądów, choć jeszcze nie tak dawno trudno byłoby mu przypisywać prorosyjskie sympatie. Jest autorem książki o „operacji polskiej", czyli ludobójstwie, którego NKWD dokonało na Polakach, którzy po I wojnie światowej znaleźli się w granicach ZSRS.

> GRZEGORZ BRAUN MUSI ZNALEŹĆ ZUPEŁNIE INNĄ TOŻSAMOŚĆ I CAŁKIEM JUŻ WYRAŹNIE WIDAĆ, ŻE MA ONA ZDECYDOWANIE PROROSYJSKI CHARAKTER.

Kolejnym zwolennikiem Rosji jest Sebastian Pitoń, góral, architekt, członek najbliższego kręgu Grzegorza Brauna. On wprost przyznaje, że wybiera „Ruski mir", bo woli przywództwo Moskwy niż Waszyngtonu.

Coraz głośniej mówi się o tym, że z list Konfederacji Korony Polskiej do Sejmu ma wystartować także Monika Jaruzelska, córka autora stanu wojennego. Grzegorz Braun jest częstym gościem jej kanału na YouTubie i za każdym razem przyciąga setki tysięcy widzów. Widoczna jest

eprasa.pl ec2e027efa

między nimi sympatia, ale także zbieżność poglądów.

Polityka zombie

Oczywiście w tej rosyjskiej, politycznej nostalgii można by doszukiwać się dawnej tradycji narodowej. Takiej jeszcze sprzed I wojny światowej. Według niej Polakom zawsze będzie bliżej do Moskwy niż do Zachodu, gdyż wśród Słowian jesteśmy liderem, a Europa traktuje nas jak pariasów. Państwa zachodnie mają stanowić dla nas zagrożenie z powodu większej atrakcyjności kulturowej. Z kolei Rosja nie stwarza żadnego niebezpieczeństwa, gdyż jesteśmy na wyższym poziomie rozwoju.

To jednak były miraże roztaczane przed narodem, który nie miał własnego państwa i usiłował je odbudować w oparciu o jednego z zaborców. Historia dowiodła aż nazbyt boleśnie, że imperium rosyjskie, bez znaczenia, jaką akurat wyznaje ideologię, nie zamierza cywilizować się za pomocą polskiej kultury, ale za wszelką cenę próbuje nas raczej pociągnąć w dół.

Drugim powodem, dla którego Wschód ma być dla nas lepszym kierunkiem, jest moralny upadek Zachodu. Zresztą nieco ponad dekadę temu dała się na to nabrać nawet część polskiej hierarchii kościelnej. W Moskwie widziała strażnika tradycyjnych wartości i siłę zdolną powstrzymać rewolucję seksualno-obyczajową spod tęczowej flagi.

Tyle tylko że Rosja jest jednym z najbardziej zniszczonych moralnie i zdegenerowanych krajów świata, w którym alkoholizm, narkomania, korupcja, przemoc i wszelkie inne patologie są dniem codziennym. Tamtejsza religijność jest fasadowa, a Cerkiew całkowicie podporządkowana totalitarnemu państwu. Homoseksualistów bije się na ulicach, a reżim morduje swoich politycznych przeciwników. Przede wszystkim od czterech lat Rosja prowadzi ludobójczą wojnę na Ukrainie, masowo zabijając cywilów, porywając dzieci i grabiąc wszystko, co się da.

Nie ma więc żadnych rozsądnych przesłanek, by tęsknym wzrokiem patrzeć na Moskwę. Zresztą w polskim społeczeństwie Rosjanie są jedną z najbardziej nielubianych nacji, nie ma też żadnego sentymentu do czasów „braterskiej przyjaźni". Wręcz przeciwnie – Polacy wspominają te czasy z odrazą.

Jedynym racjonalnym uzasadnieniem jest chęć uzyskania korzyści i wsparcia z zewnątrz. Reprezentowanie obcych interesów. Tego rodzaju formacje pojawiły się w kilku państwach Europy Środkowej, ale nigdzie nie uzyskały znaczącej przewagi. Istotny jest raczej ich wpływ na debatę publiczną niż realne możliwości walki o władzę. To jednak w rzeczywistości oznacza możliwość wywoływania kryzysów politycznych, a przecież to jedna z głównych metod działania Rosji.

To żadna prawica

Jeśli więc przyjrzymy się bliżej Konfederacji Korony Polskiej, to trudno ją w rzeczywistości nazwać prawicą. To raczej galeria osobliwości, które próbuje się na siłę zjednoczyć pod jednym szyldem. Z samego faktu, że Grzegorz Braun wita się słowami „Szczęść Boże", nie wynika jeszcze, że jest przywiązany do polskiej tradycji narodowo-chrześcijańskiej.

Bliski mu „Jaszczur" raz wrzeszczy, że „sra na Biblię", a innym razem Kościół i św. Jana Pawła II wyzywa od zdrajców. Braun nie przerywa, ale słucha z teatralną powagą.

Nie widać tam także przywiązania do suwerenności, gdyż nie można jej opierać na sojuszu z Rosją. No, chyba że uznamy Białoruś za państwo niepodległe. Istotne jest także, że formacja ta nie uznaje demokracji za jakąkolwiek wartość, ale raczej za swoistą uciążliwość. To również nie ma nic wspólnego z konserwatyzmem, ponieważ brak demokracji oznacza ograniczanie wolności. To zaś jest zaprzeczeniem idei prawicowych.

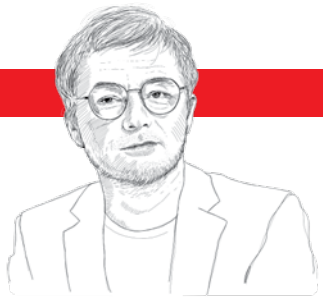
Jedyne, co łączy tych wszystkich ludzi, to gen porażki. Nie ma wśród nich zwycięzców. No, może z wyjątkiem samego Grzegorza Brauna, który był całkiem dobrym dokumentalistą i bardzo sprawnie organizuje zbiórki pieniędzy. Żaden z nich nie odniósł nigdy politycznego sukcesu. To raczej polityczne osobliwości niż osobowości.

Zresztą gdy słucha i ogląda to, co i jak mówią członkowie drużyny spod znaku gaśnicy, to właściwie trudno do końca uznać, czy oni to wszystko mówią na poważnie, czy tylko sobie z nas wszystkich robią jaja. Gdyby to były tylko żarty, to nawet można by się uśmiechnąć. Niestety jest jednak inaczej.

Z SAMEGO FAKTU, ŻE GRZEGORZ BRAUN WITA SIĘ SŁOWAMI „SZCZĘŚĆ BOŻE", NIE WYNIKA JESZCZE, ŻE JEST PRZYWIĄZANY DO POLSKIEJ TRADYCJI NARODOWO-CHRZEŚCIJAŃSKIEJ.

eprasa.pl ec2e027efa

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Leon XIV wierzy w Ewangelię

Jan Wróbel

Ojciec Święty napisał książkę. Przepraszam za spojler, ale „Siła Ewangelii. Wiara chrześcijańska w 10 słowach” jest bardzo pobożna.

Cóż w tym złego? – może ktoś zapytać. Szczególnie mając na uwadze postać autora, trudno spodziewać się, powiedzmy, uszczypliwych charakterystyk znanych postaci Kościoła. Albo łajania popularnych wśród katolików, a mało katolickich przekonań (chociażby dotyczących imigrantów). To książka o mocy Ewangelii, kropka. Dostajemy sporą garść tekstów w formie niedługich, w pewnym sensie nowoczesnych kazań umacniających w przekonaniu, że białe jest białe, a czarne jest czarne. Lektura dzieł wspierających wierzącego w przekonaniu, że Jezus Chrystus jest Zbawicielem i tak dalej zalecana jest przez Kościół od niepamiętnych lat.

Czy jednak warto było napisać książkę zarówno pobożną, jak i wzniosłą, taką „papieską”? Katechetyka współczesna bardzo często sprowadza zawiłe problemy wiary do formatu zagadnień codziennych. Dzieci paćkają dżemem świeżo położoną tapetę. Co robić? Karać? Objaśniać? Dołączyć do zabawy? (Najlepiej ściany wymalować olejną, by się łatwo zmywało; na subtelne piękno mieszkania przyjdzie czas... kiedyś). W pracy małe podłożenie świnki kierownikowi przyspieszyłoby awans i podwyżkę – to jak, kłaść? Popularni kaznodzieje internetowi, podobnie jak cenieni kaznodzieje w realu lawirują między wzniosłymi prawdami a przyziemnymi egzaminami naszej postawy. Leon XIV pozostaje na poziomie doniosłych słów: „Istnieją ogromne skupiska Interesów i mocno zakorzenione organizacje przestępcze, których niszczenie jest obowiązkiem państwa. Łatwiej jest walczyć z ich ofiarami. Zbyt często w imię bezpieczeństwa wypowiadano i nadal wypowiada się wojnę ubogim, zapełniając więzienia tymi, którzy są jedynie ostatnim ogniwem w łańcuchu śmierci. Natomiast ten, który trzyma ten łańcuch w swoich dłoniach, jest w stanie zdobyć wpływy i bezkarność. Nasze miasta nie powinny być uwalniane od wyobcowanych, ale od wyobcowania; nie powinny być oczyszczone ze zrozpaczonych, ale z rozpaczy”. Słowa ważne, można powiedzieć – drogowskaz. Ale taki bez GPS-u wskazującego, jak sobie z tymi przemyśleniami poradzić w praktyce.

Może jednak papież nie jest od GPS-ów? Może to po prostu nasze zadanie. Niekoniecznie zresztą tylko szczerych wyznawców katolicyzmu, lecz po prostu każdego – jak mówi się czasem – człowieka dobrej woli.

I à propos podkładania świnek. Pisze Ojciec Święty: „Każdy może być budowniczym jedności dzięki swojemu nastawieniu wobec kolegów – przezwyciężając nieuniknione nieporozumienia z cierpliwością, z pokorą, stawiając się w sytuacji innych, unikając uprzedzeń, a także dużą dozą humoru, jak nas nauczył sam papież Franciszek”. Aha.

CZY WARTO BYŁO NAPISAĆ KSIĄŻKĘ ZARÓWNO POBOŻNĄ, JAK I WZNIOSŁĄ, TAKĄ „PAPIESKĄ”?

eprasa.pl ec2e027efa

CZŁOWIEK NA PIERWSZYM MIEJSCU Kongres Pracy '26



Kongres Pracy w Gdańsku – cztery debaty o przyszłości pracowników i gospodarki

Konrad Wernicki

22 kwietnia br. historyczna Sala BHP Stoczni Gdańskiej ponownie stanie się miejscem debaty o sprawach fundamentalnych dla świata pracy. To właśnie tam odbędzie się Kongres Pracy – wydarzenie organizowane przez Fundację Promocji Solidarności, które zgromadzi polityków, ekspertów i związkowców, którzy będą rozmawiać o kierunkach rozwoju gospodarki i wyzwaniach stojących przed pracownikami. Symbolika miejsca nie jest przypadkowa – to przestrzeń, w której historia polskiego ruchu pracowniczego spotyka się z jego współczesnymi dylematami.

Kongres otworzą przedstawiciele środowisk związkowych, w tym przewodniczący NSZZ „Solidarność” Piotr Duda, a rangę wydarzenia podkreśla zapowiadany udział reprezentanta Kancelarii Prezydenta RP. Jednak sednem kongresu będą cztery debaty, które – choć różne tematycznie – układają się w spójną opowieść o napięciach między polityką, gospodarką i interesami pracowników.

Zielony Ład – największe zagrożenie świata pracy

Pierwszy panel poświęcony zostanie Zielonemu Ładowi i jego konsekwencjom dla rynku pracy. Dyskusję poprowadzi Michał Ossowski, prezes zarządu Fundacji Promocji Solidarności, a wśród uczestników znajdą się m.in. Bartłomiej Mickiewicz – zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, Karol Rabenda – podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP, prof. Zbigniew Krysiak – przewodniczący Rady Programowej Instytutu Myśli Schumana, oraz Mateusz Piotrowski – prezes Stowarzyszenia Pacjent Europa. W centrum rozmowy znajdzie się pytanie, czy polityka klimatyczna Unii Europejskiej odbywa się kosztem przemysłu i zatrudnienia. W debacie publicznej coraz częściej podnoszony jest argument – który od dawna ma na swoich sztandarach NSZZ „Solidarność” – że Zielony Ład prowadzi do wzrostu cen energii, co bezpośrednio przekłada się na koszty produkcji. W efekcie europejskie przedsiębiorstwa tracą konkurencyjność, a część z nich decyduje się przenosić działalność poza Unię. To zjawisko, określane niekiedy jako „ucieczka przemysłu”, rodzi poważne pytania o przyszłość miejsc pracy w Europie i o to, czy transformacja energetyczna może być społecznie zrównoważona.

Kongres otworzą **przedstawiciele środowisk związkowych**, w tym przewodniczący NSZZ „Solidarność” Piotr Duda, a rangę wydarzenia podkreśla zapowiadany udział reprezentanta Kancelarii Prezydenta RP.

Rynek pracy 2026 – nowe regulacje i wyzwania

Kolejna debata skupi się na rynku pracy w 2026 roku, a poprowadzi

eprasa.pl ec2e027efa

ją redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność” Rafał Woś. W rozmowie wezmą udział m.in. Maciej Kłosiński – zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, Paulina Matysiak – posłanka na Sejm RP, prof. Jacek Męcina – doradca Zarządu Konfederacji Lewiatan, oraz Marlena Maląg – europoseł z ramienia Prawa i Sprawiedliwości. Punktem odniesienia w dyskusji będą zarówno bieżące wyzwania gospodarcze, jak i zmiany legislacyjne. Szczególne znaczenie ma nowelizacja przepisów regulujących działalność Państwowej Inspekcji Pracy, która ma wzmocnić skuteczność kontroli i poprawić egzekwowanie prawa pracy. Z jednej strony pojawiają się oczekiwania większej ochrony pracowników, z drugiej – obawy przedsiębiorców przed rosnącą presją regulacyjną. W tle tej debaty pozostają także procesy automatyzacji, zmiany demograficzne oraz napięcia między stabilnością zatrudnienia a elastycznością rynku.

Pensja w euro czy złotówkach?

Trzecia część kongresu przeniesie uczestników w obszar sporów makroekonomicznych, które od lat dzielą polską debatę publiczną. Panel dotyczący przyjęcia euro ponownie poprowadzi Rafał Woś, a wśród dyskutantów znajdą się Artur Soboń – członek Zarządu Narodowego Banku Polskiego, Kacper Płażyński – poseł z ramienia Prawa i Sprawiedliwości, Natalia Kołc z Konfederacji oraz Alfred Bujara – szef handlowej Solidarności. Spór o złotówkę i euro trwa już całkiem długo i pozostaje jednym z najbardziej symbolicznych przykładów różnic w podejściu do integracji europejskiej. Zwolennicy wspólnej waluty wskazują na potencjalne korzyści w postaci stabilności i łatwiejszego handlu, przeciwnicy akcentują utratę suwerenności monetarnej i ryzyko inflacyjne. W realiach niepewnej sytuacji gospodarczej pytanie o euro powraca z nową siłą, choć wciąż pozostaje bez jednoznacznej odpowiedzi.

Gdański Kongres Pracy zapowiada się jako wydarzenie, które **wykracza poza rutynową wymianę opinii**. W jego centrum znajdują się bowiem pytania o kierunek rozwoju Europy, rolę państwa w gospodarce oraz przyszłość pracy w świecie dynamicznych zmian.

Ukraińcy na polskim rynku pracy – fakty i mity

Ostatnia debata poświęcona będzie obecności Ukraińców na polskim rynku pracy. Poprowadzi ją Konrad Wernicki z Fundacji Promocji Solidarności, a wśród panelistów znajdą się Krzysztof Domagała z Regionu Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność”, Mateusz Szymański – przedstawiciel „S” w Europejskim Komitecie Ekonomiczno-Społecznym, oraz Nadia Winiarska – zastępczyni dyrektora Departamentu Pracy Konfederacji Lewiatan, a także przedstawiciele dyplomatyczni Ukrainy: ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Bodnar oraz generalny konsul Ukrainy w Gdańsku Svitlana Krysa. Będzie to dobra okazja do skonfrontowania wielu opinii obecnych w debacie publicznej – w tym tych, które przedstawiają Ukraińców jako obciążenie dla polskiego systemu. Zderzenie tych tez z danymi i doświadczeniami rynku pracy może pokazać bardziej złożony obraz zjawiska, w którym migracja zarobkowa jest jednocześnie wyzwaniem społecznym i istotnym wsparciem dla gospodarki.

Gdański Kongres Pracy zapowiada się jako wydarzenie, które wykracza poza rutynową wymianę opinii. W jego centrum znajdują się bowiem pytania o kierunek rozwoju Europy, rolę państwa w gospodarce oraz przyszłość pracy w świecie dynamicznych zmian. To właśnie na styku tych zagadnień rozstrzygać się będą nie tylko spory ideowe, ale i bardzo konkretne decyzje wpływające na życie milionów pracowników.

Zarejestruj się na wydarzenie:

PATRON HONOROWY
KPRP Patronat Kancelarii Prezydenta RP
NSZZ Solidarność
PARTNER GŁÓWNY
NBP Narodowy Bank Polski
ORGANIZATOR
Fundacja Promocji Solidarności
PARTNERZY
DOMS
PATRONI MEDIALNI
wPolsce24
Tygodnik Solidarność
Radio Gdańsk
tysol.pl
trojmiasto.pl
Republika
TRWAM

eprasa.pl ec2e027efa

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO



Sławomir Jastrzębowski

Kto choruje, ten za PiS-em

Do tytułu chciałem dodać, bo się nie zmieściło, że kto rodzi, to też jest za PiS-em. Czyli mówić tu będziemy o dwóch postawach z barwnej palety postaw anty i wbrew, wybitnie antyobywatelskich, antyzjednoczeniowych, tak jak my to rozumiemy, pasożytniczych wręcz w pewnym sensie. Chorowanie i rodzenie, znaczy hańba.

Zanim zacznę, napomknę, że gdybym nawet nie udowodnił, a nawet sobie wewnętrznie zaprzeczył w wywodach, które Państwo właśnie czytają (że hańba), nie ma to najmniejszego znaczenia dla mojego elektoratu, słuchaczy, publiczności, gdyż publika została trwale uświadomiona grozą: Nie jesteśmy idealni, wręcz jesteśmy beznadziejni, ale jeśli nie my, to za rogiem czai się PiS! PiS! PiS!

Do rzeczy, bo się tekst didaskaliuje. Tak, tak wiemy i pamiętamy, że mówiliśmy różności. Że na przykład jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki sytuacja w służbie zdrowia zostanie uleczona, ale nadmienić należy, że różdżka nam gdzieś zniknęła, podobnie, jak zniknęła nam wypowiadająca te słowa pani, przez chwilę minister zdrowia, Izabela Leszczyna. Trochę pomogliśmy jej zniknąć, bo taka była historyczna potrzeba, ale nie czas żałować Leszczyn, gdy płoną szpitale.

NIE JESTEŚMY IDEALNI, WRĘCZ JESTEŚMY BEZNADZIEJNI, ALE JEŚLI NIE MY, TO ZA ROGIEM CZAI SIĘ PiS! PiS! PiS!

Nie, no, spokojnie, łatwo napisać płoną, a wcale nie płoną, tylko trochę bankrutują. Zamykane są całe oddziały, jak chociażby nagradzana jako najlepsza w Polsce porodówka w Brzezinach pod Łodzią. Nasza taktyka komunikacyjna będzie tu jednak zdumiewająco prosta: wszystkie te ruchy świadczą jak najlepiej o kondycji polskiej służby zdrowia, bo jak się zamyka coś, to to coś jednak jest, będzie zamknięte, ale mamy to, a mogliśmy nie mieć, i wtedy nie byłoby czego zamykać, więc sukces, choć nieoczywisty na pierwszy rzut oka. Zobaczcie, ile mamy szpitali i oddziałów, naprawdę duma. Tyle można zamknąć albo okroić. Zresztą z zamkniętego oddziału coś można wynieść, łóżko czy wieszak i komuś się przyda, nic się nie zmarnuje oprócz wszystkiego, a z oddziału, który nie istniał, nic się nie wyniesie. Weźmy ten przypadek porodówki w Brzezinach. Zamykamy najlepszą porodówkę w kraju, to znaczy, że jednak nie była dla nas wystarczająco dobra. Może lepsza od najlepszej ostałaby się (raczej nie, ale nie będziemy tego artykułować). Wysoko zawieszamy poprzeczkę. Poza tym samo rodzenie w momencie, gdy ojczyzna nasza (myślę tu akurat o Polsce, a nie o zleceniodawcy) przeżywa pewne kłopoty przed zjednoczeniem, przeżywa je służba zdrowia szczególnie (tak szczególnie to wszystko jest w kryzysie, ale po co to artykułować?), takie przyjeżdżanie z brzuchem do szpitala, krzyczenie, narażenie na koszty własnego państwa, czy to jest nowoczesny patriotyzm? Czy nie wystarczy psiecko? A psiec-

eprasa.pl ec2e027efa

ko nie musi się rodzić w szpitalu, państwo, wciąż niebogate nie ponosi wtedy kosztów. Apelujemy więc, żeby przed lekkomyślnym, aspołecznym zajściem w ciążę zażyć chwilę namysłu (bez partnera, bo rozprasza, a łapy niech trzyma przy sobie), refleksji, na problem spojrzeć szerzej.

bo dobrze jest, jak podwładnymi targają bojaźń i drżenie. Arłukowicza nie ruszamy na razie. Za bardzo funkcji żadnej nie ma, więc mu nawet ministrowania nie można odebrać, a poza tym walczy zajadle z PiS-em, powtórzę „zajadle", więc go jeszcze potrzymamy.

tyce senator Koalicji Obywatelskiej Tomasz Lenz.

Będzie ważne, więc proszę utrwalać. 15 marca senator przyjechał do szpitala w Aleksandrowie Kujawskim z dzieckiem wymagającym operacji i z własnym chirurgiem. Tak, tak. Nie chciał narażać państwa na koszty, więc przywiózł swojego chirurga, choć świadkowie złośliwie zwracają uwagę, że lekarz sam przyjechał i to niezłą furą (a co to ma do rzeczy?). Następnie chyba porwano anestezjologa z OIOM i przeprowadzono operację, a operacja się udała. Generalnie operacja wyglądała trochę jak z gangsterskiego filmu, ale proszę zwrócić uwagę, że było tu działanie, nie było bezczynnego stania w kolejce i czekania. Inni, ci nie z KO, niech sobie czekają. Zresztą muszą czekać, bo operowany poza kolejnością synalek kolejkę do operacji wydłużył.

TROCHĘ POMOGLIŚMY ZNIKNĄĆ MINISTER IZABELI LESZCZYNIE, BO TAKA BYŁA HISTORYCZNA POTRZEBA, ALE NIE CZAS ŻAŁOWAĆ LESZCZYN, GDY PŁONĄ SZPITALE.

Tak, mówiliśmy Hołownią przed wyborami, że będą do Państwa dzwonić lekarze sami z siebie, żeby pytać o stan zdrowia i zlecać badania i pilnować badań i takie tam. Tak, mówiliśmy Bartoszem Arłukowiczem i Sławomirem Nitrasem: „Konkret numer jeden: zniesiemy limity w NFZ dla szpitali. Nikt nigdy nie zostanie odesłany ze szpitala dlatego, że skończyły się limity". Zanim zerkniemy na to prostacko, czy to prawda, czy fałsz, czy dotrzymaliśmy obietnic, doceńmy jednak pewnego rodzaju wirtuozerię odpowiednich słów wypowiedzianych w odpowiednim czasie. Ci ludzie w tym czasie potrzebowali tych słów. Nasza bezprecedensowa odwaga pozwoliła nam je wypowiedzieć. Zrobiliśmy to, nie bacząc na konsekwencje, które – swoją drogą – nie doskwierają nam zanadto w rządowych limuzynach i przestronnych gabinetach. Tylko ludzi szkoda, tak szybko się zużywają, taki Szymon Hołownia, tyle dobrego zrobił, a z ciężkim sercem musieliśmy go trochę zniknąć, zresztą podobnie jak Sławka Nitrasa. Trzeba go było nieco opiłować,

Chorowanie teraz jest, co już udowodniliśmy, antypaństwowe (myślę tu o jeszcze istniejącym państwie polskim, a nie tym docelowym, zjednoczonym, będącym marzeniem postępowym) i niepatriotyczne w szerszym sensie patriotyzmu internacjonalistycznego. I zgodzę się, że teza tytułowa „Kto choruje, ten za PiS-em" jest mimo prawidłowego wydźwięku publicystycznie przerysowana, ale...

SENATOR KO PRZYJECHAŁ DO SZPITALA Z DZIECKIEM WYMAGAJĄCYM OPERACJI. NIE CHCIAŁ NARAŻAĆ PAŃSTWA NA KOSZTY, WIĘC PRZYWIÓZŁ SWOJEGO CHIRURGA.

Owszem, może się zdarzyć, że zachoruje ktoś wartościowy, ktoś z Koalicji Obywatelskiej albo z jego rodziny. Wtedy wdrożyć należy odpowiednie procedury, które zaprezentował nam w prak-

Kończąc, jak widać po przykładzie Lenza, Koalicja Obywatelska wyleczy się sama, tak jak rząd się sam wyżywi (Jerzy Urban), a nawet zoperuje się sama, choć stara się nie chorować. Swoją drogą ta przygoda senatora wyraźnie wskazuje, że jednak przynależność do jakiejś określonej wspólnoty przynosi korzyści. Po prostu popłaca.

I kończąc dodam wbrew sobie: Do czasu.

eprasa.pl ec2e027efa

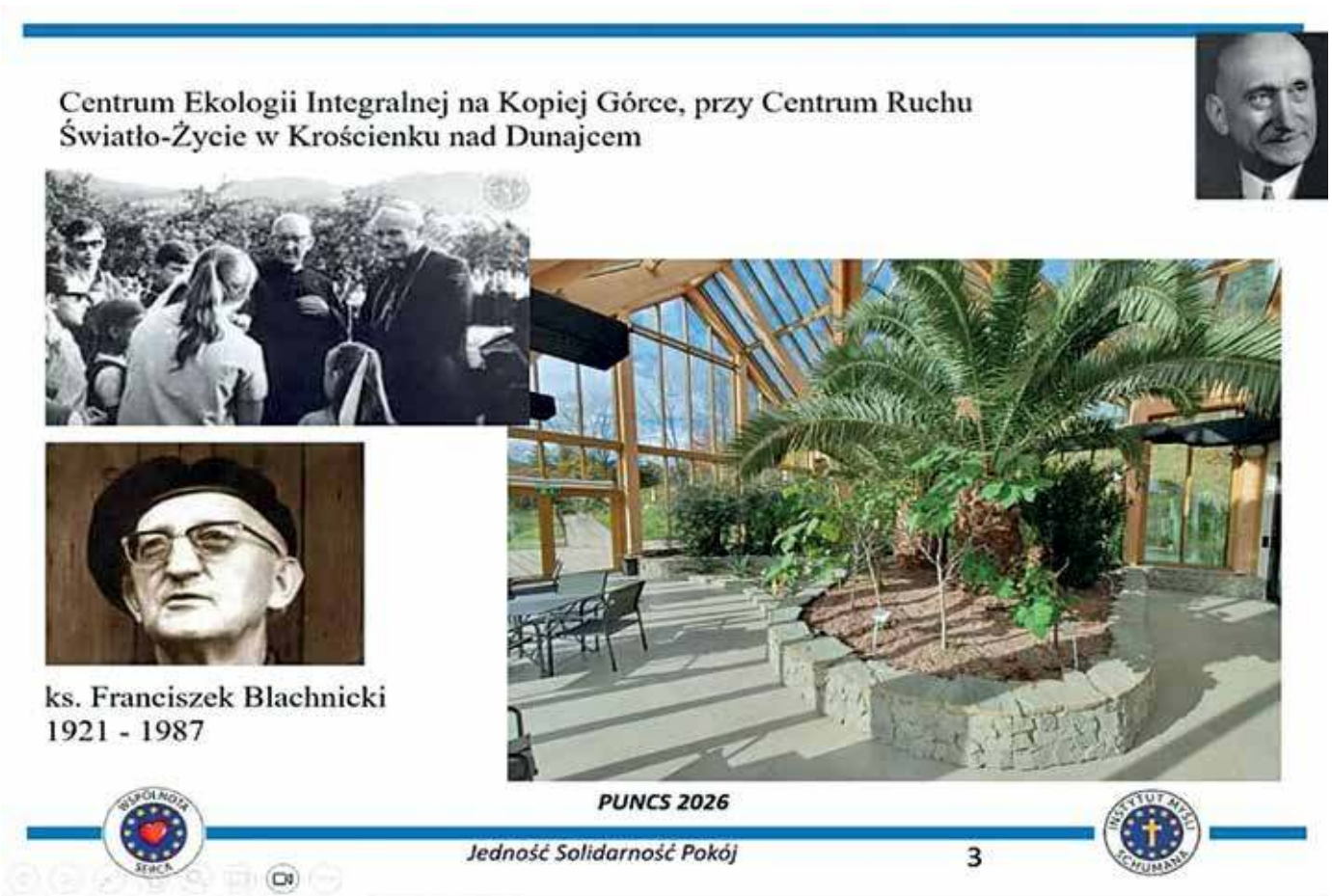
O ekologii integralnej

Marek Oktaba

Na Kopiej Górce w Krościenku, wśród budynków Ruchu Światło-Życie, znajduje się Centrum Ekologii Integralnej, przypominając o tym, że można człowieka widzieć jako organizm żywy potrzebujący ochrony. Między innymi temu są poświęcone zajęcia Powszechnego Uniwersytetu Nauczania Chrześcijańsko-Społecznego (PUNCS). Tu chodzi o czynienie człowieka tym, który służy dobru wspólnemu, czyli również dobru środowiska przyrodniczego. Jest to więc podejście odmienne od obecnie obserwowanych ideologicznych działań, by ludzi prowadzić ku ubóstwu oraz desperacji jako tych, którzy dla planety stanowią rzekomo wyłącznie zagrożenie. Ks. Franciszek Blachnicki, który założył Ruch Światło-Życie, był promotorem społecznej nauki Kościoła i orędownikiem tego, aby świeccy i politycy wdrażali wartości chrześcijańskie do życia społecznego i gospodarczego, podobnie jak to czynił Robert Schuman

Kiedy w organizmach ludzkich lub zwierzęcych mechanizm współpracy między komórkami zostaje zastąpiony mechanizmem konkurencji, to nazywamy go nowotworem, który często doprowadza do śmierci. Z tego warto wyciągać wnioski na rzecz gospodarki. Gdy wszyscy ze sobą wyłącznie konkurują, gospodarka cechuje się niską skutecznością. W gospodarce konkurencja odgrywa pozytywną rolę jako czynnik uzupełniający i tylko wtedy, gdy jest stosowany według zasad fair play jak w zdrowo zorganizowanym sporcie. Tu wyłanianie zwycięzcy walki konkurencyjnej służy temu, aby szerzyć dobre rozwiązania, dobre praktyki.

Mentalność neoliberalna zachęca do działań odmiennych od wyżej opisanego mechanizmu. Jednak ce-



eprasa.pl ec2e027efa

lem gospodarki neoliberalnej wcale nie jest osiąganie wyższej całościowej skuteczności, lecz – wyższych zysków dla najsilniejszych. W jakimś sensie gospodarka neoliberalna zjada sama siebie, sama siebie niweczy, po czym, wypaliwszy jakiś teren, przenosi się na inną część kuli ziemskiej. Taki proces rozpoczął się kilka dekad temu w Stanach Zjednoczonych, gdy przemysł wyprowadzono do Azji Wschodniej i gdy pojawił się słynny „pas rdzy" z licznymi rzeszami bezrobotnych Amerykanów. Obecnie podobnie działa rząd Niemiec posługujący się hasłem „przez Chiny dla świata", i tu następuje przenoszenie zarówno niemieckiej produkcji przemysłowej, jak i badań do Chin. W wyniku tego Niemcy tracą miesięcznie 10 000 miejsc pracy w przemyśle. Nikogo nie martwi perspektywa bezrobocia w Niemczech, bo dla rządu jedynie ważny jest interes udziałowców wielkiego niemieckiego przemysłu, a który to interes nadal będzie gwarantowany po przeniesieniu firm do Chin.

Mentalność neoliberalna kontynuuje przyzwyczajenia sprzed tysięcy lat, kiedy to gospodarka opierała się na pracy niewolników i temu zawsze towarzyszyła ze strony elit pogarda dla zwykłego człowieka. Ta pogarda nadal rządzi myśleniem licznych środowisk uniwersyteckich, salonów politycznych oraz kręgów biznesowych. W jakimś sensie to akceptują zwykli ludzie, poświęcający wiele swego czasu i energii na agresję i wrogość wobec innych ludzi, kierując się egoizmem, chciwością czy cwaniactwem. Kto zaś próbuje odwoływać się do wartości, ten często bywa traktowany jak infantylny naiwniak i marzyciel, rzekomo nierozumiejący prawdy o ludzkiej naturze oraz mechanizmach rządzących światem.

Tak zwani realiści przekonani do tego, że ludźmi i światem rządzą jedynie egoizm i chciwość, w istocie nie rozumieją, że ta droga nie jest jedyną. Przed ludźmi stoją do wyboru dwie możliwości, czyli neoliberalna lub współpraca jako solidaryzm. Wydaje się, że w USA w ostatnich latach zdecydowano się na drogę solidaryzmu, gdy głosami wyborców z „pasa rdzy" wybrano polityków dążących do odbudowy amerykańskiego przemysłu. Czegoś potrzeba nam było w procesie budowania współpracy małych i średnich przedsiębiorców sięgających po siłę solidarności dla wspólnego przeciwstawiania się siłom, które chcą wypalać i wyjaławiać ziemię tylko po to, by ci najbogatsi przez krótki czas mogli z tego czerpać zyski.

Aby możliwe stawało się budowanie wspólnego frontu oraz aby w społeczeństwie rodziła się solidarność, potrzeba głębokich zmian mentalnych przez odchodzenie od kierowania się egoizmem i chciwością. Należy przezwyciężać przyzwyczajenia, i to nawet w środowiskach chrześcijańskich. Jak długo prosty człowiek był przedmiotem pogardy, tak długo on sam dopasowywał się do niej, kierując się wyłącznie krótkowzrocznymi egoizmem i chciwością, przy czym owa chciwość paradoksalnie nie dostarczała mu korzyści. Aby wśród małych i średnich przedsiębiorców pojawiła się gleba, na której może kiełkować solidarność, wszyscy potrzebujemy zmian w naszych umysłach.

Owa zmiana wcale nie ma polegać na tym, by negować oczywisty fakt posługiwania się przez człowieka egoizmem i chciwością. Wobec tej jakże rozpowszechnionej postawy istnieje alternatywa. Wcale nie musimy żyć na ziemi, która będzie wyjaławiana i wypalana mentalnością neoliberalną, lecz możemy żyć na takiej, która zachowuje stale odnawiającą się płodność. Rozwój nie powinien być kierowany chciwością, lecz powinien na własnym terytorium zapewniać trwałą regenerację na wzór zdrowo funkcjonującego środowiska przyrodniczego. W związku z tym potrzebujemy sięgać do dobrych zasad i mechanizmów funkcjonowania. Na stole leży zaś, obok innych ofert, nadal jeszcze możliwa do zrealizowania wizja inspirowana orędziem Ewangelii. Orędzie takie szerzył Robert Schuman, który w opozycji do neoliberalizmu akcentował, że „To chrześcijaństwo pierwsze uwydatniło równość wszystkich ludzi bez względu na przynależność klasową i rasową oraz upowszechniło, podług reguły świętego Benedykta – Ora et labora – moralność pracy zakładającą, iż obowiązek wykonywania tejże staje się służbą na rzecz Bożego dzieła stworzenia".

Inne artykuły dr. Marka Oktaby można znaleźć w „Magazynie Optyka Schumana".

eprasa.pl ec2e027efa



Wielka Brytania oglądana z boku

„Anywhere but Westminster”

Wyobraźmy sobie, że Wielka Brytania na chwilę schodzi z mównicy. Wychodzi ze studia telewizyjnego, odkłada starannie wyuczone kwestie i pozwala sobie na rzadki luksus milczenia. Przestaje opowiadać o sobie językiem komunikatów, strategii i parlamentarnych rytuałów. W tej ciszy zaczyna być słychać coś innego. Rozmowy prowadzone bez mikrofonów, zdania urwane w pół myśli, frustracje wypowiadane półgłosem. Opowieść zaczyna się właśnie tutaj. Nie od tezy, lecz od przesunięcia spojrzenia. Od decyzji, by odwrócić kamerę od centrum władzy i sprawdzić, **co zostaje**, gdy znika centrum narracji.

Piotr Biegasiewicz

Fot. Adobe Stock

Nie chodzi o ucieczkę w prowincjonalny pejzaż ani o poszukiwanie egzotyki codzienności. Chodzi o dotarcie do realnego centrum życia społecznego. Do miejsc, w których polityka nie jest debatą, lecz warunkiem egzystencji. Jest obecna w pracy i jej braku, w czynszu, w rozkładzie autobusów, w permanentnym poczuciu tymczasowości. Westminster, ze swoim językiem procedur i medialnych skrótów, jawi się z tej perspektywy jako osobny świat, coraz słabiej skomunikowany z resztą kraju. Wyłania się obraz Wielkiej Brytanii zmęczonej opowieścią o sobie samej, nieufnej wobec wielkich słów, lecz dalekiej od obojętności. To kraj, który nie chce już być interpretowany. Chce, by wreszcie na niego spojrzeć poza Westminsterem.

Ten gest wykonali John Harris i John Domokos, tworząc „Anywhere but Westminster”, cykl reportaży publikowanych na kanale YouTube „The Guardian”. Podróżują po Wielkiej Brytanii, rejestrując politykę i życie społeczne z perspektywy miejsc oddalonych od londyńskiego centrum władzy. To opowieść o doświadczeniach mieszkańców miast prowincjonalnych, o długim cieniu brexitu, o nierównościach terytorialnych i o narastającym poczuciu wykluczenia z debaty prowadzonej w Westminsterze. Peryferie nie są tu tłem ani marginesem. Stają się kluczem do zrozumienia współczesnej Wielkiej Brytanii.

eprasa.pl ec2e027efa



Ludzie mieszkający w namiotach na ulicy w Brighton, w piątym najbogatszym kraju na świecie

Forma jako komunikat: polityka bez studia

Już po kilku minutach staje się jasne, że w „Anywhere but Westminster" forma nie jest neutralnym opakowaniem treści. Jest jej pierwszym i najważniejszym komunikatem. Nie ma tu studia, nie ma stołów obłożonych ekspertami ani bezpiecznego dystansu kamery ustawionej na statywie. Kamera pozostaje w ruchu. Rozmowy toczą się na ulicach, w pubach, na osiedlach, w miejscach, które nie zostały zaprojektowane z myślą o polityce, a mimo to są nią nasycone. Nikt nie otwiera rozmowy gotową tezą. Nikt nie próbuje zamknąć jej w konkluzji. Padają zdania niepewne, czasem sprzeczne, często niedomknięte.

W jednym z odcinków rozmowa urywa się w pół zdania, gdy rozmówca musi wracać do pracy. Kamera nie domaga się pointy. Rejestruje przerwę. Ten drobny moment mówi więcej o kondycji politycznej kraju niż wiele analiz. To, co zwykle uchodzi za niedoskonałość formy, staje się jej siłą. Polityka przestaje być narracją porządkowaną w studiu i zamienia się w doświadczenie, które rozgrywa się fragmentarycznie i lokalnie. Jest obecna w tonie głosu, w pauzach, w zmęczeniu rozmówców.

Kanał sugeruje w ten sposób, że współczesna Wielka Brytania nie potrzebuje kolejnej wielkiej opowieści o sobie samej. Potrzebuje rejestru głosów, nawet jeśli się ze sobą nie zgadzają, nawet jeśli nie składają się w spójną historię. W tym braku jedności ujawnia się prawda o kraju,

eprasa.pl ec2e027efa

który nie mieści się już w formacie telewizyjnego studia.

Wielka Brytania poza narracją sukcesu

W kolejnych odcinkach coraz wyraźniej rysuje się obraz kraju funkcjonującego poza oficjalną opowieścią o sukcesie. Powracają te same wątki, niezależnie od miejsca i rozmówców. Kryzys mieszkaniowy, który nie jest już przejściowym problemem, lecz trwałym stanem. Niskie płace i praca pozbawiona stabilności, rozciągnięta między umowami czasowymi a nieustanną niepewnością. Stopniowe zanikanie usług publicznych, widoczne w zamykanych bibliotekach, przeciążonych przychodniach i transporcie publicznym, który przestaje być oczywistością. Nad wszystkim unosi się poczucie utknięcia. Wrażenie, że życie toczy się w trybie oczekiwania na poprawę, która nie nadchodzi.

Nie jest to jednak obraz kraju upadłego ani pogrążonego w dramatycznym kryzysie. To raczej Wielka Brytania trwale przeciążona, zmuszona do funkcjonowania w warunkach chronicznego niedoboru. Brakuje mieszkań, czasu i elementarnego poczucia bezpieczeństwa ekonomicznego, ale brak ten został już wchłonięty przez codzienność. Społeczeństwo nauczyło się adaptować, regulować oczekiwania, obniżać ambicje. Normalność została przedefiniowana.

Ten obraz pozostaje w ostrym kontraście z londyńskimi debatami o wzroście, innowacyjności i globalnej pozycji kraju. Tam dominuje język strategii i aspiracji. Tu doświadczenie ograniczeń. Między tymi dwiema narracjami rozciąga się przepaść, którą „Anywhere but Westminster" konsekwentnie odsłania, pokazując Wielką Brytanię nie jako projekt sukcesu, lecz jako rzeczywistość zarządzaną w trybie permanentnego niedomiaru.

Polityka jako rozczarowanie, nie bunt

Najbardziej uderzające w tych rozmowach jest to, czego w nich nie ma. Nie ma rewolucyjnego tonu. Nie ma patosu sprzeciwu ani potrzeby obalania systemu. Zamiast gniewu pojawia się zmęczenie. Rozmówcy nie krzyczą, nie domagają się natychmiastowej zmiany, nie wierzą już nawet w siłę własnego oburzenia. Mówią spokojnie, czasem z ironią, częściej z rezygnacją. Polityka przestała być dla nich polem walki. Stała się tłem codziennego wysiłku i kolejnym źródłem rozczarowania, z którym trzeba nauczyć się żyć.

> CORAZ WYRAŹNIEJ RYSUJE SIĘ OBRAZ KRAJU FUNKCJONUJĄCEGO POZA OFICJALNĄ OPOWIEŚCIĄ O SUKCESIE.

Wyraźnie słychać brak wiary w partie głównego nurtu, zarówno te, które od lat sprawują władzę, jak i te, które aspirują do jej przejęcia. Obietnice brzmią znajomo i coraz mniej wiarygodnie. Każda kolejna kampania zdaje się powtarzać te same frazy, nie zmieniając doświadczenia dnia powszedniego. Wybory pozostają rytuałem, lecz tracą znaczenie jako moment realnego przełomu. Głosowanie nie budzi już nadziei. Najwyżej poczucie obowiązku.

To istotne przesunięcie względem nastrojów, które towarzyszyły brexitowi. Ówczesny gniew był głośny, mobilizujący, pełen iluzji sprawczości. To, co widzimy dziś, jest stanem po gniewie. Emocjonalnym wypaleniem politycznym, w którym energia buntu została zużyta, a w jej miejsce pojawiła się chłodna świadomość ograniczeń.

> SPOŁECZEŃSTWO NAUCZYŁO SIĘ ADAPTOWAĆ, REGULOWAĆ OCZEKIWANIA, OBNIŻAĆ AMBICJE. NORMALNOŚĆ ZOSTAŁA PRZEDEFINIOWANA.

Brexit jako tło, nie centrum

Brexit w tych rozmowach niemal nigdy nie powraca jako ideologiczny spór ani jako punkt odniesienia, wokół którego buduje się polityczną tożsamość. Nie jest już osią podziału ani źródłem emocjonalnej mobilizacji. Pojawia się raczej na obrzeżach wypowiedzi, mimochodem, jako fakt dokonany, który został wchłonięty przez codzienność. Gdy ktoś o nim wspomina, robi to bez patosu i bez potrzeby usprawiedliwiania dawnych wyborów. Brexit jawi się jako obietnica, która nie przełożyła się na realną poprawę warunków życia.

Wielka Brytania przedstawiona w tym kanale jest mentalnie postbrexitowa. Spory sprzed lat straciły swoją wyjaśniającą moc, a wielkie

eprasa.pl ec2e027efa

hasła nie są już w stanie organizować doświadczenia społecznego. Uwaga rozmówców koncentruje się na tym, co bezpośrednio dotyka ich codziennego życia. Koszty utrzymania, dostępność mieszkań, jakość opieki zdrowotnej i transportu publicznego wypierają dawne debaty o suwerenności i globalnej roli kraju. Brexit staje się jednym z elementów krajobrazu rozczarowań, a nie kluczem do jego zrozumienia.

Centrum i peryferie: fałszywa opozycja

Największym uproszczeniem byłoby odczytanie tych reportaży jako kolejnej opowieści o konflikcie centrum z peryferiami. „Anywhere but Westminster" nie przeciwstawia prowincji Londynowi. Pokazuje, że rzeczywista linia podziału przebiega gdzie indziej. Między światem codziennego doświadczenia a światem politycznej reprezentacji. Westminster nie funkcjonuje tu jako centrum kraju w sensie społecznym. Jest osobnym ekosystemem, coraz słabiej zakorzenionym w realiach życia.

Ten świat rządzi się własną logiką. Dominuje w nim język procedur, który zastąpił rozmowę o konsekwencjach decyzji. Medialna autoreferencyjność sprawia, że politycy i komentatorzy mówią głównie do siebie nawzajem. Polityka przybiera formę spektaklu przeznaczonego dla wtajemniczonych. Poza tym kręgiem toczy się jednak życie, które nie mieści się w tym formacie i coraz wyraźniej wymyka się temu językowi.

Media i reprezentacja: kto ma prawo mówić

Dziennikarze rezygnują tu z roli ekspertów. Nie porządkują świata w gotową interpretację. Są pośrednikami. Zadają pytania i słuchają. Pozwalają rozmowom toczyć się własnym rytmem, nawet wtedy, gdy prowadzą donikąd albo ujawniają sprzeczności. Ta powściągliwość nie jest brakiem kontroli, lecz świadomym gestem oddania głosu tym, którzy zazwyczaj pozostają poza kadrem.

Wielka Brytania wyłania się tu jako zbiór głosów, które rzadko mają dostęp do języka mediów ogólnokrajowych. Nie dlatego, że są mniej interesujące, lecz dlatego, że nie mieszczą się w obowiązujących formatach. Ich doświadczenia są zbyt konkretne, zbyt niejednoznaczne, zbyt mało widowiskowe. A jednak to one składają się na rzeczywisty obraz kraju.

Wielka Brytania jako kraj w trybie tymczasowym

Z tych rozmów wyłania się Wielka Brytania żyjąca w trybie, który miał być przejściowy, a stał się trwały. Tymczasowość przestała być epizodem. Stała się mechanizmem organizującym codzienność. Tymczasowe umowy, tymczasowe rozwiązania, tymczasowe obietnice. Życie społeczne toczy się w zawieszeniu.

Nie jest to kryzys jednego rządu. To stan strukturalny, który zmienia relację obywateli z państwem. Stabilność przestaje być obietnicą wspólnoty. Staje się prywatnym luksusem.

Polityka po Westminsterze

Na jednym z ujęć kamera zatrzymuje się przy przystanku autobusowym. Wczesny poranek. Kilka osób stoi obok siebie, w niewielkich odstępach. Różne płaszcze, różne torby, różne tempo poranka. Ktoś poprawia rękaw, ktoś inny przesuwa się o krok, żeby zrobić miejsce. Przez chwilę wszyscy po prostu stoją.

Autobus podjeżdża. Drzwi się otwierają. Ktoś wsiada pierwszy, ktoś chwilę później. Jedna osoba przytrzymuje drzwi ułamkiem sekundy dłużej. Inna odruchowo cofa się o pół kroku. Ruch jest płynny, bez słów, jakby od dawna był ćwiczony.

Kamera zostaje na przystanku. Pusta ławka. Rozkład jazdy lekko poruszany wiatrem. Po chwili cisza wraca na swoje miejsce.

KOSZTY UTRZYMANIA, DOSTĘPNOŚĆ MIESZKAŃ, JAKOŚĆ OPIEKI ZDROWOTNEJ I TRANSPORTU PUBLICZNEGO WYPIERAJĄ DAWNE DEBATY O SUWERENNOŚCI I GLOBALNEJ ROLI KRAJU.

TYMCZASOWOŚĆ PRZESTAŁA BYĆ EPIZODEM. STAŁA SIĘ MECHANIZMEM ORGANIZUJĄCYM CODZIENNOŚĆ.

eprasa.pl ec2e027efa

Stwierdzenie, że giganci streamingowi wykorzystują swoje produkcje do kształtowania naszego światopoglądu, to zwykły truizm. To, że czasem próbują nas też w ten sposób uczynić rzecznikami **własnego korporacyjnego interesu**, nie jest już niestety tak oczywiste. Nowa adaptacja klasycznej powieści Herberta George'a Wellsa pt. „Wojna światów" próbuje nas przekonać, że co dobre dla Amazona, dobre jest dla całego świata.

Marek Nowak

WOJNA o świat(opogląd)

W jednej z najlepszych scen wybitego filmu Francisa Forda Coppoli „Rozmowa" z 1974 roku Harry Caul (Gen Hackman), introwertyczny mężczyzna pracujący jako ekspert od podsłuchów, będąc w swoim domu, odbiera telefon. W słuchawce słyszy spokojny głos: „Wiemy, że pan wie, panie Caul. Dla własnego dobra proszę się w to dalej nie angażować. Będziemy pana obserwować".



Fot. kadr z filmu

eprasa.pl ec2e027efa

Następnie widzimy, jak bohater, wcześniej spokojny i opanowany, niczym w amoku przetrząsa swój dom w poszukiwaniu podsłuchów. Rozbiera na części pierwsze telefon, zdejmuje żyrandol, niszczy meble, zrywa tynk ze ścian oraz listwy z podłogi. Obraz bohatera siedzącego na środku zniszczonego mieszkania staje się zarazem obrazem zaszczucia, jak i gorzką metaforą samotności człowieka w świecie zdominowanym przez powszechną inwigilację. Coppola doskonale uchwycił, że jedną z największych obaw współczesnego człowieka jest lęk przed ingerencją w prywatność, dlatego, mimo upływu lat, jego film w dalszym ciągu przeraża. Figura bezbronnej jednostki żyjącej w państwie kontrolującym obywateli i ograniczającym ich wolność powracała w kinie wielokrotnie. Wraz z rozwojem nowoczesnych technologii, internetu i mediów społecznościowych nastąpiła nie tylko swoista redefinicja relacji społecznych, lecz także, z nową mocą, powróciły pytania o zakres inwigilacji w czasach, gdy jest ona łatwiejsza niż kiedykolwiek. Nowa adaptacja klasycznej powieści H.G. Wellsa pt. „Wojna światów" z 2025 roku zdaje się być produkcją chcącą być głosem w tej właśnie dyskusji. Znakiem czasu jest fakt, że o ile dawne wersje były głosami twórców z różnych powodów zatroskanych kondycją ludzkiej wspólnoty, o tyle nowa jest już głosem streamingowego giganta zatroskanego własnym biznesem.

Odbicie rzeczywistości

Jak słusznie zauważył niezależny krytyk filmowy Maciej Niedźwiedzki w swojej recenzji na portalu Filmweb, kolejne adaptacje „Wojny światów" zawsze były sformatowane przez lęki czasów, w których powstawały. „Orson Welles diagnozował gęstniejące nastroje poprzedzające wybuch II wojny światowej, a Byron Haskin w 1953 roku odtwarzał globalne pobojowisko. Dla Spielberga świeże były wspomnienia zamachów na wieże World Trade Center i ciągle wtedy trwający zamach sprzymierzonych sił Zachodu na kraje Bliskiego Wschodu" – pisze Niedźwiedzki. To, że nowa wersja „Wojny światów" porusza takie kwestie, jak chaos współczesnego świata informacji wywołany przez natłok cyfrowych bodźców, uzależnienie od technologii czy strach przed inwigilacją i dezinformacją, nie jest więc w tym kontekście niczym zaskakującym. Głównym bohaterem jest Will Radford (Ice Cube) – analityk bezpieczeństwa cybernetycznego w strukturach Homeland Security. W swojej codziennej pracy tropi on zagrożenia w internecie i masowym nadzorze danych, w wolnych chwilach zaś inwigiluje prywatne życie swoich dzieci: będącej w zaawansowanej ciąży córki Faith (Iman Benson) oraz nastoletniego syna Davida (Henry Hunter Hall). Uczynienie bohatera filmu nie ofiarą inwigilującego obywateli systemu, lecz kogoś, kto pełni funkcje strażnika i nadzorcy tego systemu, jest pierwszym ciekawym pomysłem twórców nowej wersji „Wojny światów". Kolejnym jest strona formalna filmu. Zrealizowany jest on jako tzw. screenlife – widz śledzi wydarzenia przez Zooma, komunikatory internetowe i nagrania wideo. To chyba pierwsza produkcja, która chciała pokazać inwazję wrogo nastawionych istot z innej planety w ten sposób. Przyznam, że to całkiem intrygujący pomysł. Niestety, ta ambitna koncepcja rozmija się z wykonaniem.

> ZBIERAJĄCE O NAS INFORMACJE MIĘDZYNARODOWE KORPORACJE DZIAŁAJĄ CZĘSTO POZA DEMOKRATYCZNĄ KONTROLĄ.

> FILM KREŚLI OBRAZ ŚWIATA, W KTÓRYM PROBLEMEM JEST NIE TYLE SAMA INWIGILACJA, LECZ TO, CZY KONTROLUJĄ JĄ „WŁAŚCIWI" GRACZE.

Nieudany film

Debiutujący jako reżyser Rich Lee znany był wcześniej głównie z kręcenia teledysków dla artystów takich jak Eminem, Black Eyed Peas czy Lana Del Rey. Niedoświadczenie i braki warsztatowe widać, niestety, w nowej „Wojnie światów" na każdym kroku. Lee nie umie prowadzić aktorów, kreślić w sposób przekonujący relacji między nimi ani budować

eprasa.pl ec2e027efa

filmowego napięcia, co w tego typu produkcji bardzo szybko się mści. Jeśli dodamy do tego fatalnie napisane dialogi i kiepski, pozbawiony elementarnej logiki scenariusz, to obraz produkcji, która w sposób niezamierzony prezentuje się jako gatunkowy autopastisz, jest w pełni widoczny. Przyznanie filmowi 5 Złotych Malin – amerykańskiej antynagrody filmowej – we wszystkich „najważniejszych" kategoriach nie powinno nikogo dziwić. Tu pojawia się pytanie: po co pisać o kolejnym kiepskim filmie? Nieudanych produkcji SF tworzy się dziś całkiem sporo, po co więc zawracać sobie głowę kolejną z nich? Najciekawszy (i zarazem najbardziej niepokojący) element filmu nie leży jednak w kiepskiej realizacji czy drewnianych dialogach, lecz w tym, jak sprytnie giganci streamingowi, tacy jak Amazon, wykorzystują swoje produkcje do kształtowania naszego światopoglądu.

Oswoić kontrolę

„Wojna światów" (2025) udaje, że jest głosem za wolnością jednostki przeciwko wizji świata opartej na masowej kontroli i inwigilacji społeczeństwa przy użyciu nowoczesnych technologii, lecz tak naprawdę sam ten obraz oswaja nas z taką rzeczywistością. Film kreśli obraz świata, w którym problemem jest nie tyle sama inwigilacja, lecz to, czy kontrolują ją „właściwi" gracze. Wszelkie ostrza krytyki kierowane są wyłącznie pod adresem rządów i biurokracji – nigdy zaś pod adresem wielkich platform technologicznych, które zbierają te same dane, tylko znacznie skuteczniej i w celu czysto komercyjnych zysków. W filmie nie usłyszymy ani słowa o tym, że rządy, przynajmniej w świecie Zachodu, mają demokratyczną legitymację i możemy je w procesie wyborczym odwołać, podczas gdy zbierające o nas informacje międzynarodowe korporacje działają często poza demokratyczną kontrolą. „Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż śledzenie zakupów na Amazonie" – mówi w pewnym momencie „odmieniony" Radford. Mówiąc brutalnie, dane zbierane przez Amazona są dla Amazona i nikomu nic do tego. Państwo zawodzi, jest nieudolne, a nawet niebezpieczne, podczas gdy prywatne korporacje ułatwiają codzienne życie i na swój sposób opiekują się obywatelami. Film Lee udaje, że „chwyta prawdę czasów", a tak naprawdę ją zakłamuje. Oczywiście obraz ten jest na tyle nieudolny, a jego przesłanie wyłożone w tak nachalnie łopatologiczny sposób, że szczerze wątpię, by mógł on na kogokolwiek skutecznie oddziaływać. To jednak nie znaczy, że z czasem nie będą pojawić się inne, dużo lepsze pod kątem warsztatowym produkcje, których możliwości oddziaływania będą już dużo większe. Współczesny Harry Caul nie musi już odbierać telefonu w swoim pokoju, by dowiedzieć się, że jest obserwowany. Sam, klikając w różne regulaminy stron i usług w internecie, zgadza się, by rozmaite firmy kierowane przez ludzi, o których nawet nie słyszał, zbierały o nim dane. Czyż najlepszą inwigilacją nie jest taka, na którą sami dajemy zgodę? Kultura i popkultura, przestrzegając nas przed zagrożeniami współczesności, mogła działać jak sole trzeźwiące. Dziś, kiedy coraz bardziej stają się narzędziem w rękach kapitału, mogą też być obsadzone w funkcji wielkiego anestezjologa znieczulającego społeczną percepcję zagrożeń. W 1999 roku wypełniony rebelianckim duchem SF „Matrix" wzywał odbiorców do kwestionowania współczesności i zrywania „kajdan kontroli". W 2025 roku nowa wersja „Wojny światów" daje nam korporacyjny coaching pt. „Jak pokochać własną klatkę?". S

KULTURA STAJE SIĘ NARZĘDZIEM W RĘKACH KAPITAŁU, MOŻE TEŻ BYĆ OBSADZONA W FUNKCJI WIELKIEGO ANESTEZJOLOGA ZNIECZULAJĄCEGO SPOŁECZNĄ PERCEPCJĘ ZAGROŻEŃ.

W 2025 ROKU NOWA WERSJA „WOJNY ŚWIATÓW" DAJE NAM KORPORACYJNY COACHING PT. „JAK POKOCHAĆ WŁASNĄ KLATKĘ?".

eprasa.pl ec2e027efa

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Słyszał Pan, że spalił się krzyż, przy którym święty Jan Paweł II modlił się w 1979 roku na ówczesnym pl. Zwycięstwa, a dziś Piłsudskiego?

Tomek: – Tak, spalił się, i to symbolicznie w Wielki Piątek!

– Pan ma ten krzyż na zdjęciach 1979 roku.

– Fotografowałem papieża w trakcie tamtej pielgrzymki. Mam na zdjęciach m.in. przejazd papieża z lotniska, słynny transparent wykonany przez Kornela Morawieckiego z napisem „Wiara Niepodległość". Mam też krzyż. Przy nim papież odprawił pierwszą po objęciu Stolicy Piotrowej Mszę św. w Polsce. Tam też wypowiedział słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi".

– Według zapewnień proboszcza kościoła Świętego Maksymiliana Kolbego na warszawskim Mokotowie, przy którym obecnie stoi konstrukcja krzyża, ma on zostać odbudowany. W oryginale jednak możemy go oglądać już tylko m.in. na Pana zdjęciach.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl ec2e027efa

KULTURA

Czytaj też:
Debiut Bolesława Leśmiana 54

Nie mam CIŚNIENIA



– Las zdecydowanie pomaga. Cisza i spokój pozwalają mi się zatrzymać i lepiej zrozumieć siebie. To miejsce bardzo mnie ukształtowało i dało mi przestrzeń do tego, żeby poukładać sobie wiele rzeczy w głowie – mówi **Bartek Kiona**, muzyk i leśnik, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Joanna Kiona

– Spotykamy się przy okazji Twojego debiutanckiego singla „Julia". To zawsze moment przełomowy dla artysty, tym bardziej że to jest Twój pierwszy wywiad. Powiedz na początek, kim właściwie jest Julia? To konkretna osoba czy raczej symbol?

– Julia nie jest jedną konkretną osobą, choć oczywiście emocje, które za nią stoją, są prawdziwe i zakorzenione w realnych doświadczeniach. To bardziej symbol pewnego rodzaju relacji – takiej, która ma w sobie jednocześnie piękno i tragizm. Inspiracją był dla mnie „Romeo i Julia" Williama Szekspira, czyli historia ponadczasowa, opowiadająca o miłości silniejszej niż rozsądek, ale też obciążonej pewnym fatum i nieuchronnością. Chciałem stworzyć opowieść uniwersalną, która nie jest przypisana do jednej biografii, tylko może rezonować z różnymi ludźmi. Interesuje mnie w sztuce bardziej to, jak coś mogłoby wyglądać niż dosłowne odtwarzanie rzeczywistości. Dlatego „Julia" jest raczej emocją niż osobą.

– Twoja muzyka jest bardzo refleksyjna, momentami wręcz intymna. Tymczasem Twoja aparycja może sugerować coś zupełnie innego.

– I to jest chyba najlepszy dowód na to, że nie warto przywiązywać się do pierwszego wrażenia. Przez długi czas sam próbowałem dopa-

eprasa.pl ec2e027efa

Bartek Kiona przedstawia „**Julię**” – singiel o namiętności i przyciąganiu, ujęty w formie intymnej historii. Utwór opowiada o decyzjach podejmowanych sercem, które mają swoją cenę.

sować się do pewnych wyobrażeń – tego, jak powinien wyglądać artysta, jak powinien się zachowywać. W pewnym momencie zrozumiałem, że to nie ma sensu, bo odbiera autentyczność. Pogodziłem się ze swoją wrażliwością i przestałem ją traktować jako coś, co trzeba ukrywać. Mam wrażenie, że stereotyp „twardego faceta” jest już nieaktualny, ale wciąż gdzieś funkcjonuje. Wolę być szczery i pokazywać to, co naprawdę czuję, bo tylko wtedy muzyka ma dla mnie sens.

– W życiu prywatnym masz swoją Julię?

– Tak, mam. Jesteśmy razem od piętnastu lat, a od czterech lat jesteśmy małżeństwem. To relacja, która dojrzewała razem z nami i która bardzo mnie ukształtowała jako człowieka. Daje mi ogromne poczucie stabilności, a jednocześnie przestrzeń do rozwoju. To też ważne, bo kiedy wchodzisz w świat muzyki, który jest niepewny i często chaotyczny, dobrze mieć coś stałego, co daje oparcie.

– Nie utrzymujesz się jeszcze z muzyki. Czym zajmujesz się na co dzień?

– Jestem leśnikiem. Mieszkam w środku lasu i właściwie całe moje życie zawodowe i prywatne jest z nim związane. To bardzo specyficzne środowisko – ciche, spokojne, wymagające uważności. Myślę, że ma ogromny wpływ na to, jak myślę i jak tworzę.

– To dość nietypowa ścieżka jak na artystę. Skąd taki wybór?

– Zupełny przypadek. Nie miałem planu, żeby zostać leśnikiem. Nie mam też rodzinnych tradycji w tym kierunku. Po prostu na pewnym etapie życia usłyszałem o technikum leśnym i postanowiłem spróbować. Później próbowałem innych rzeczy, nawet prowadziłem kwiaciarnię, ale finalnie wróciłem do zawodu, który już miałem. Dziś patrzę na to jako na coś, co bardzo mnie ukształtowało, choć początkowo wcale tego nie planowałem.

– Gdybyś miał porównać swoją muzykę do elementu natury, co by to było?

– Myślę, że bardziej kwiat niż drzewo. Wybrałbym tulipana – jest delikatny, ale jednocześnie wyrazisty. Nie jest nachalny, ale przyciąga uwagę swoją prostotą. Wydaje mi się, że moja muzyka działa podobnie – nie próbuje dominować, tylko raczej zaprasza do zatrzymania się na chwilę.

– Rynek muzyczny jest dziś bardzo konkurencyjny. Czym chcesz przyciągnąć odbiorców?

– Autentycznością. To słowo często się pojawia, ale dla mnie to konkretna decyzja – nie udawać, nie kreować się na siłę. Nie podążam za trendami, bo nie czuję takiej potrzeby. Moje główne źródło utrzymania jest gdzie indziej, więc nie jestem zmuszony do tego, żeby podporządkowywać się rynkowi. Dzięki temu mogę pozwolić sobie na szczerość. Wierzę, że odbiorcy to wyczuwają i że to właśnie może być moją największą wartością.

POGODZIŁEM SIĘ ZE SWOJĄ WRAŻLIWOŚCIĄ I PRZESTAŁEM JĄ UKRYWAĆ.

– W swoich decyzjach częściej kierujesz się sercem czy rozumem?

– Chciałbym powiedzieć, że jednym i drugim, ale mam wrażenie, że jednak częściej wygrywa serce. Sam fakt, że zajmuję się muzyką, świadczy o tym najlepiej. To nie jest łatwa droga, nie daje gwarancji sukcesu ani stabilności. A mimo to czuję, że to jest coś, co powinienem robić.

– Co jest trudniejsze – praca w lesie czy budowanie kariery muzycznej?

– To dwa zupełnie różne światy. Leśnictwo ma swoje procedury, strukturę, pewną przewidywalność. Muzyka jest dużo bardziej nieuchwytna. Wymaga ciągłego

Bartek Kiona

to niezależny muzyk DIY i performer live/looping. Łączy songwriting z nowoczesną produkcją i koncertową energią, budując bliską relację z publicznością. Projekt rozwija samodzielnie – od tworzenia muzyki, przez realizację, po wideo i komunikację.

eprasa.pl ec2e027efa

uczenia się, wychodzenia ze strefy komfortu, mierzenia się z niepewnością. Ale właśnie to sprawia, że jest tak wciągająca. Trudności są częścią tej drogi, ale nie odbieram ich jako problemów.

– Masz wsparcie najbliższych?
– Tak, ogromne. Żona jest moją pierwszą słuchaczką i największą fanką. Wierzy we mnie nawet wtedy, kiedy mam wątpliwości. Myślę, że bez tego wsparcia byłoby mi o wiele trudniej.

– W jakim kierunku chcesz rozwijać swoją muzykę?
– Moim korzeniem jest blues i to jest coś, co czuję najmocniej. Na razie powstają rzeczy bardziej akustyczne, spokojniejsze, ale mam też materiał bardziej elektryczny, który chciałbym pokazać w kolejnych wydawnictwach. Nie chcę się jednak ograniczać – zależy mi na tym, żeby podążać za emocją, a nie za gatunkiem.

– Jaki jest Twój cel w muzyce?
– Chcę dobrze przeżyć życie. W zgodzie ze sobą. Oczywiście marzenia o dużych scenach gdzieś są, ale nie są one dla mnie najważniejsze. Nie mam ciśnienia na sukces rozumiany jako popularność. Dla mnie ważniejsze jest, żeby to, co robię, miało sens.

MOJĄ MUZYKĘ MOŻNA PORÓWNAĆ DO TULIPANA – NIE JEST NACHALNA, ALE PRZYCIĄGA SWOJĄ PROSTOTĄ.

– Skąd taka postawa?
– Duży wpływ miał na mnie stoicyzm. To podejście pozwoliło mi spojrzeć na życie z dystansem i zrozumieć, że wiele rzeczy, które wydają się ważne, wcale takie nie są. To mnie uspokoiło i pozwoliło skupić się na tym, co naprawdę istotne.

O utworze „Julia”:

Debiutancka piosenka Bartka Kiony to utwór skupiony na emocjonalnym napięciu i dynamice relacji, w której namiętność staje się osią opowieści. Autor prowadzi narrację w sposób intymny i bezpośredni, budując przekaz na autentyczności i bliskości. Gdyby „Julia” była wiadomością głosową wysłaną w środku nocy, brzmiałaby tak: „Wiem, że to nie ma sensu, ale i tak chcę jeszcze trochę”. To symbol historii, w które wchodzimy mimo ostrzeżeń. Czegoś, co jest piękne i niszczące jednocześnie.

W warstwie muzycznej „Julia” łączy organiczne instrumentarium z nowoczesnym podejściem do produkcji. Charakter utworu dobrze wpisuje się w koncertową formułę artysty – live/looping, gdzie aranż powstaje w czasie rzeczywistym poprzez dokładanie kolejnych warstw.

– Napisałem „Julię” tak, jak mówi się coś ważnego prosto w oczy, bez dystansu. Chciałem, żeby piosenka była czytelna i szczera – bez zbędnej ornamentyki, za to z energią, która dobrze działa na żywo – komentuje Bartek Kiona.

– Występujesz solo jako looper. Na czym polega ta forma?
– To urządzenie, które pozwala nagrywać i zapętlać dźwięki na żywo. Dzięki temu mogę sam budować całe utwory na scenie – od rytmu po melodię. To daje dużą niezależność i sprawia, że każdy koncert jest trochę inny.

– Kto przychodzi na Twoje koncerty?
– Myślę, że przede wszystkim osoby wrażliwe, które szukają w muzyce czegoś więcej niż tylko rozrywki. Ale tak naprawdę gram dla wszystkich – każdy może znaleźć w tym coś dla siebie.

– Mieszkanie w lesie pomaga czy przeszkadza w tworzeniu?
– Zdecydowanie pomaga. Cisza i spokój pozwalają mi się zatrzymać i lepiej zrozumieć siebie. To miejsce bardzo mnie ukształtowało i dało mi przestrzeń do tego, żeby poukładać sobie wiele rzeczy w głowie.

– Tworzysz wszystko sam. To świadomy wybór?
– Częściowo tak, a częściowo wynika to z warunków, w jakich żyję. Trudno znaleźć współpracowników w środku lasu. Ale też lubię tę niezależność. Mam więcej czasu niż środków, więc naturalnie poszedłem w stronę samodzielności.

– Z kim chciałbyś kiedyś współpracować?
– Z kimś, z kim będzie chemia – nie tylko muzyczna, ale też ludzka. Bardzo cenię Michała Kowalonka za jego wrażliwość i autentyczność. To byłby dla mnie ciekawy kierunek.

– Na koniec – kim jest dziś Bartek Kiona jako artysta?
– Kimś, kto nie ma ciśnienia, ale ma potrzebę tworzenia. I chcę robić to uczciwie – wobec siebie i wobec ludzi.

eprasa.pl ec2e027efa

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

RAYE – THIS MUSIC MAY CONTAIN HOPE
WYD. RAYE/HUMAN RE SOURCES



RAYE na tej płycie udowadnia, że jest jedną z najciekawszych autorek popu i soulu ostatnich lat. „This Music May Contain Hope" to album bardzo osobisty – pełen opowieści o bólu, uzależnieniach, miłości i próbach odnalezienia siebie. Jej głos jest tu najważniejszy: raz delikatny i kruchy, innym razem potężny i pełen emocji. Instrumentalnie płyta łączy pop, jazz, soul i elektronikę, ale nic nie brzmi przypadkowo. To album, który bardziej się przeżywa, niż tylko słucha, bo emocje są tu absolutnie autentyczne.

LOREEN – WILDFIRE
WYD. POLYDOR



„Wildfire" to album, który brzmi jak nocna podróż – trochę melancholijna, trochę hipnotyzująca. Loreen stawia na klimat i emocje, a nie na klasyczne popowe refreny. Dużo tu elektronicznych przestrzeni, pulsujących bitów i eterycznego wokalu, który momentami brzmi jak kolejny instrument. Płyta jest bardzo spójna i najlepiej działa słuchana w całości, bo każdy utwór płynnie przechodzi w następny nastrój. To muzyka bardziej do czucia niż analizowania – idealna na słuchawki i moment, kiedy chce się na chwilę zniknąć ze świata.

KANYE WEST – BULLY
WYD. YZY/GAMMA.



„Bully" to płyta, na której Kanye West ponownie próbuje zdefiniować samego siebie. Album brzmi surowo, momentami wręcz demonstracyjnie niedopracowanie, ale właśnie w tym tkwi jego siła. Produkcje są oszczędne, oparte na ciężkich bitach i niepokojących samplach, a teksty balansują między egocentryzmem a zaskakującą autorefleksją. To nie jest album łatwy ani przebojowy – raczej mroczny szkic emocji i myśli. Kanye nie próbuje tu nikogo przekonać, raczej mówi: „tak teraz brzmi mój świat". I choć nie każdy utwór zostaje w głowie, całość tworzy spójny, duszny klimat.

CHARLIE PUTH – WHATEVER'S CLEVER
WYD. ATLANTIC



Charlie Puth na „Whatever's Clever" wraca do tego, co wychodzi mu najlepiej – lekkiego, świetnie wyprodukowanego popu. Album jest pełen chwytliwych melodii, dopracowanych harmonii i charakterystycznych dla niego zabaw dźwiękiem. Słychać, że Charlie nadal myśli jak producent – każdy dźwięk ma tu swoje miejsce. Tekstowo płyta jest raczej lekka, skupiona na relacjach i emocjach, ale nie o słowa tu chodzi, tylko o brzmienie. To bardzo przyjemny, radiowy album, który nie zmienia historii muzyki, ale słucha się go z dużą przyjemnością.

eprasa.pl ec2e027efa

Debiut Bolesława Leśmiana

Bolesław Leśmian zadebiutował 131 lat temu – jeszcze pod nazwiskiem Stanisława Lesmana. Pseudonim Leśmiana pojawił się **dwa lata później**. 26 lat temu ukazała się pierwsza biografia poety. Do 2000 roku nie wiedziano nawet, kiedy Leśmian się urodził.

Piotr Łopuszański

Wczesną jesienią 1895 roku młody gimnazjalista wysłał z Kijowa do warszawskiego tygodnika „Wędrowiec" dwa wiersze. Potem z bijącym sercem czekał na ich druk. Wreszcie w numerze z 28 października w rubryce „Odpowiedzi Redakcyi" przeczytał: „Panu St. Les. w Kijowie. Pierwszego wiersza nie zamieścimy. «Sekstyny» przy sposobności wydrukujemy".

I rzeczywiście: 14 grudnia na łamach „Wędrowca" ukazał się wiersz „Sekstyny". Tak zadebiutował młody poeta Bolesław Lesman. Dlaczego więc podpisał się jako St. Lesman. Otóż na chrzcie otrzymał imiona Bolesław Stanisław, a podpisywał się St. Lesman i imieniny obchodził na Stanisława.

Prawdziwy debiut poetycki Leśmiana przyszedł wiele lat później, gdy w 1912 roku ukazał się pierwszy tom zatytułowany „Sad rozstajny". Poeta miał wtedy 35 lat. To dość późno jak na debiutanta. Leopold Staff wydał swoje „Sny o potędze" w wieku 23 lat. I to był przeciętny wiek dla debiutującego poety. Jan Lechoń zadebiutował jako nastolatek. Arthur Rimbaud zaś w wieku 19 lat... porzucił poezję.

O Leśmianie pisano wiele, w tym dużo nieprawdziwych informacji. O tym, że urodził się w Kijowie, że przyszedł na świat w sylwestra 1877/1878 roku, że zmienił nazwisko, że jego matka została pochowana na Ukrainie, że zadebiutował wierszami w języku rosyjskim. Wielka Encyklopedia Powszechna PWN w 1965 roku zamieściła informację, jakoby Leśmian zadebiutował w 1894 roku, ale to też nie jest prawda.

> 14 GRUDNIA 1895 ROKU NA ŁAMACH „WĘDROWCA" UKAZAŁ SIĘ WIERSZ „SEKSTYNY". TAK ZADEBIUTOWAŁ MŁODY POETA BOLESŁAW LESMAN.

Przez ponad 60 lat od śmierci Leśmiana nie było żadnej biografii poety. Pisano o jego twórczości, a nie znano jego życia. Wydano jedynie wspomnienia o Leśmianie, ale często były one bałamutne, jak tekst Izabeli Czajki-Stachowicz, jakoby Leśmian po pijanemu wyciągał ryby z akwarium w restauracji. Nie bywał pijany, ryb nie wyciągał. W restauracji „Bachus" zrobił to malarz, Romuald Kamil Witkowski.

Pierwsza biografia Leśmiana ukazała się w 2000 roku. Potem przyszły kolejne cztery. Wszystkie są mojego autorstwa. Bolesławowi Leśmianowi poświęciłem 40 lat życia. Nadal odkrywam nowe informacje i dokumenty.

Bolesław pochodził z rodziny żydowskiej o patriotycznych tendencjach. W jego rodzinie byli powstańcy listopadowi i styczniowi. On sam brał udział w demonstracjach studenckich w Kijowie, za co został aresztowany i relegowany ze studiów. Dzięki interwencji znaczących osób mógł zdać egzamin końcowy z prawa jako ekstern.

Ojciec poety, Józef Lesman, studiował matematykę w Warszawie, w Szkole Głównej. Jego kolegami z uczelni byli sławni później pisarze: Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Adolf Dygasiński, Wiktor Gomulicki. Zaprzyjaźnił się ze studentem prawa Sewerynem Sunderlandem i w 1876 roku poślubił jego siostrę, Emmę. Seweryn Sunderland z kolei ożenił się z siostrą Józefa, Gustawą. Te małżeństwa nie były jednak udane. W obu przypadkach doszło do separacji. Gustawa Sunderlandowa mieszkała w Iłży, a Seweryn w Warszawie. Emma Lesmanowa przebywała w Warszawie, a jej mąż, Józef, pojechał aż do Kijowa.

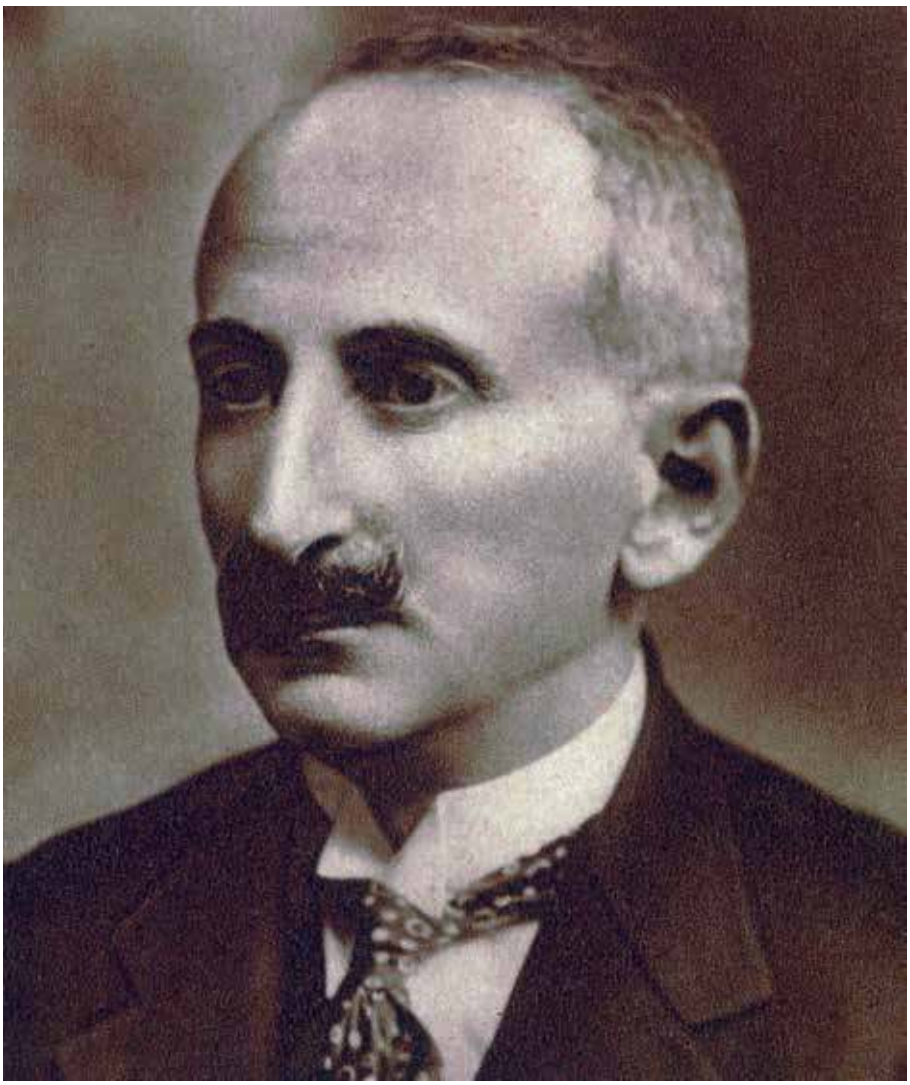
eprasa.pl ec2e027efa

Bolesław urodził się w Warszawie 22 stycznia 1877 roku, nie w sylwestra i nie nad ranem, a o trzeciej po południu. Odnalazłem jego akt chrztu i urodzenia. Na płycie nagrobnej autora „Łąki” Jan Brzechwa, kuzyn Leśmiana (syn Aleksandra Lesmana, brata ojca poety) kazał wyryć datę urodzenia 1879, a więc błędną. Leśmian przyszedł na świat w kamienicy przy ulicy Chmielnej 17. Dom ten istnieje, lecz nie ma na nim tablicy pamiątkowej. 11 miesięcy później urodził się młodszy brat poety, Kazimierz Antoni. Kilka lat później pojawiła się siostra Aleksandra.

Ojciec w połowie lat 80. zabrał dzieci do Kijowa. Tam chłopcy uczyli się w gimnazjum, a potem na uniwersytecie. Emma Lesmanowa zmarła w 1887 roku. Tego samego roku Józef, Bolesław i Kazimierz Lesmanowie w katedrze świętego Jana w Warszawie ochrzcili się w obrządku katolickim. Józef Lesman podał wówczas nieprawdziwą informację, że jest księgarzem warszawskim, chociaż księgarzami byli jego ojciec Bernard i brat Antoni. Wkrótce Józef ożenił się po raz drugi, z Polką, Heleną Dobrowolską.

Bolesław interesował się literaturą polską. Czytał poetów. W biblioteczce domowej była z pewnością antologia „Lira polska” wydana przez stryja, Antoniego Lesmana. Czytał też Marię Konopnicką, Kazimierza Przerwę-Tetmajera. Wielki wpływ na wczesną twórczość Bolesława miała poezja Juliusza Słowackiego. Swoje pierwsze utwory zapisywał w zeszycie, który niestety zaginął.

Z Kijowa młody gimnazjalista wysyłał wiersze do warszawskich i krakowskich pism literackich, do „Tygodnika Ilustrowanego”, „Wędrowca”, „Głosu”, „Życia”. W wieku 20 lat zaczął podpisywać je pseudonimem Bolesław Leśmian. Poradził mu to wuj, Antoni Lange. Tu warto zaznaczyć, że poeta nigdy nie zmienił nazwiska. Jako notariusz podpisywał się jako Bolesław Lesman.



Fot. Wikimedia Commons

PRAWDZIWY DEBIUT POETYCKI LEŚMIANA PRZYSZEDŁ WIELE LAT PÓŹNIEJ, GDY W 1912 ROKU UKAZAŁ SIĘ PIERWSZY TOM ZATYTUŁOWANY „SAD ROZSTAJNY”.

W czasie studiów nawiązał znajomość, która przerodziła się w przyjaźń, ze starszym od niego Zenonem Przesmyckim, zwanym Miriamem. Gdy Miriam założył czasopismo literackie „Chimera”, Leśmian wysyłał do niego swoje wiersze i prozę poetycką. Przesmycki stał się dla poety autorytetem. To Miriam ułożył debiutancki tom Leśmiana i wybrał tytuł. Poeta proponował kilkanaście tytułów, np. „Czaty wiosenne”, „Znój zwierciadlany” albo „Zagon chabrowy”, wreszcie „Sad na rozstajach” i (skreślony) „Sad rozstajny”. Miriam wybrał ten ostatni.

Leśmian przyjaźnił się z poetami Leopoldem Staffem, Bronisławą Ostrowską, pisarzem Wacławem Berentem, oryginałem warszawskim Franciszkiem Fiszerem, potem z Emilem Zegadłowiczem. Stanisława ›

eprasa.pl ec2e027efa

Wysocka w liście do Emila Zegadłowicza napisała, że „Leśmian to piękna dusza".

Kilka lat poeta mieszkał w Paryżu. Tam poznał studentkę Akademii Rodolphe'a Juliana, Zofię Chylińską. Miała 19 lat, ciemne włosy, piękny uśmiech. Była niezależna w poglądach i ogromnie mu się spodobała. Zaproponował dziewczynie wspólny wyjazd do Bretanii. Zgodziła się. Zamieszkali w pensjonacie w Concarneau. Nieśmiały Bolesław nie wiedział, jak zyskać przychylność Zofii, która miała adoratora. Pisał, że jest oszołomiony, że to Atlantyk tak go oszołomił. Przypuszczał, że dziewczyna uważa go „za idiotę". Na szczęście młoda malarka dostrzegła jego inteligencję, talent poetycki i pewną nieporadność życiową. Adoratora odprawiła i została z Bolkiem. Po powrocie do Paryża para wzięła ślub. W 1905 roku Zofia i Bolesław przyjechali ponownie do Concarneau. Zofia była już w ciąży. Tu urodziła się córka Maria Ludwika. Trzy lata później przyszła na świat druga córka, Wanda.

Przed I wojną światową społeczeństwo polskie podzieliło się na zwolenników Rosji i sojuszników Austro-Węgier. Za Rosją opowiadali się Bolesław Prus, Władysław Reymont, Józef Weyssenhoff i zwolennicy Romana Dmowskiego, za Austrią (i co za tym idzie: Niemcami) Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug i zwolennicy Józefa Piłsudskiego. Natomiast Bolesław Leśmian w liście do Stefana Żeromskiego napisał: „Musimy się głęboko nad owym «wyborem» zastanowić i dojść wreszcie do przekonania, iż wybór ów nie powinien paść ani na jedną, ani na drugą stronę. Liczyć możemy jeno na ideę samodzielną, wyłącznie naszą, w nas samych zrodzoną". Uważał, iż podłączać się „na przyczepkę" do jednego z zaborców „nie wolno". Opowiadał się za opcją polską, chciał, aby politycy polscy reprezentowali polskie interesy i działali dla dobra wspólnego. W artykułach apelował o jedność narodową. W artykule „O potrzebie pracy kulturalnej" zacytował pośmiertną „Zgodę" Stanisława Wyspiańskiego i słowa: „CZYN WIELKI W ZGODZIE". Apelował, by Polacy odrzucili myślenie partyjne, a zaczęli myśleć o dobru narodu. Jakże aktualne słowa!

BOLESŁAWOWI LEŚMIANOWI POŚWIĘCIŁEM 40 LAT ŻYCIA. NADAL ODKRYWAM NOWE INFORMACJE I DOKUMENTY.

W 1915 roku poeta nawiązał współpracę z patriotycznym czasopismem „Myśl Polska". Ogłaszał tu nowele, wiersze (przejmującą „Spowiedź" i cykl „Łąka"). W „Myśli Polskiej" ukazała się też jego „Legenda o Żołnierzu Polskim". Poeta opisał dramatyczną i wyjątkową sytuację Polaków, którzy walczą z innymi Polakami w obcych armiach. W 1916 roku uczestniczył w akcji „Na szkołę polską". W tym samym roku został kierownikiem teatru w Łodzi.

W 1917 roku, gdy żona szykowała wystawę obrazów w „Zachęcie", Leśmian wyjechał do Iłży, do ciotki Gustawy i kuzynki Celiny (po chrzcie Czesławy). Tam, w domu Sunderlandów, poznał znajomą Celiny, lekarkę, Teodorę Lebenthal i... zakochał się. Zaczęły się ukradkowe spotkania w sadzie za domem, w samym domu. Poeta czekał na znak. Lampa miała zgasnąć w jednym z okien, a zapalić się w drugim. A więc Bolesław czekał na podwórzu. I na znak lampy szedł do pokoju Dory, by ją pieścić i całować. Nowa miłość nim owładnęła. Miał wtedy 40 lat. Gdy Teodora wróciła do Warszawy, często u niej bywał i nocował. Dora mieszkała w kamienicy przy Marszałkowskiej 148. Ten adres poeta podawał w owym czasie jako swój własny. Od tej pory lawirował między żoną a kochanką.

W 1918 roku, jeszcze przed proklamowaniem niepodległego państwa polskiego, poeta otrzymał propozycję wyjazdu z Warszawy i zamieszkania na prowincji, w Hrubieszowie. Po wahaniach wyjechał z rodziną i w miasteczku nad Huczwą prowadził kancelarię notarialną.

Był rozdarty. Notariat dawał mu zabezpieczenie materialne. Nie musiał troszczyć się o dochody. Zarabiał doskonale. Wcześniej przecież głodował i żył za pożyczone pieniądze, więc doceniał stałą posadę. Z drugiej strony w stolicy mieszkała Dora. W Warszawie były kawiarnie, przyjaciele. Nowy notariusz zdumiał mieszkańców Hrubieszowa, ponieważ urzędował tylko kilka dni i zaraz wyjeżdżał do Warszawy. Wymyślał rozmaite preteksty, dlaczego musi jechać. A to w sprawie taksy notarialnej, a to do lekarzy warszawskich, a to w sprawach rodzinnych. Żona początkowo nic nie podejrzewała. Po awansie i przeprowadzce do Zamościa rodzina zamieszkała w luksusowym Domu Centralnym. Poeta nadal urzędował krótko, a brał urlop

WIELKI WPŁYW NA WCZESNĄ TWÓRCZOŚĆ BOLESŁAWA MIAŁA POEZJA JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

eprasa.pl ec2e027efa

lub zwolnienie na długi czas. Żonie opowiadał, że masło zamojskie jest niedobre i musi je przywieźć z Warszawy. Gdy kiedyś Zofia rozwinęła opakowanie, okazało się, że Leśmian przywiózł masło... zamojskie.

W 1920 roku poeta wydał tom „Łąka" zawierający oprócz cyklu tytułowego ballady i erotyki z cyklu „W malinowym chruśniaku". Ów chruśniak istniał w sadzie na tyłach iłżeckiego domu Sunderlandów u stóp wzgórza zamkowego. W Iłży istnieje Izba Bolesława Leśmiana, a w tamtejszej bibliotece dział z książkami poety i o poecie, Biblioteczka Pana Leśmiana.

Poeta zarabiał jako notariusz znakomicie. I korzystał z tego. Jeździł do Paryża, Alassio. Grał w kasynie w Monte Carlo. Przegrał tam 1000 franków. Odbywał kuracje w Karlovych Varach. W latach 20. pisał niewiele, a drukował jeszcze mniej. „Wiadomości Literackie" go ignorowały, „Skamander" wyśmiewał". Złośliwości na jego temat opowiadał Słonimski. Bolesław Leśmian, najwybitniejszy poeta dwudziestolecia międzywojennego, został zepchnięty na margines literatury.

W 1928 roku włamano się do kancelarii notarialnej Lesmana w Zamościu. Potem wyszła na jaw defraudacja. Zastępca notariusza, Władysław Adamowicz, przywłaszczył sobie 20 tysięcy złotych. Oddał połowę. Za resztę odpowiadał notariusz. Co więcej, okazało się, że rejent Lesman nie płacił podatków. W sumie miał 28 tysięcy ówczesnych złotych długu. W potrzebie poznał, kto był naprawdę przyjacielem. Zegadłowicz nie odpowiadał na listy z prośbą o zwrot pożyczki udzielonej kilka lat wcześniej. Zygfryd Krauze wyłudził za pożyczkę plac na Mokotowie. Z pomocą przyszli żona, kochanka i Kazimierz Wierzyński, który zaprowadził Leśmiana do ministra Stanisława Cara, by sprawę uregulować. Leśmianowi nie groziła już kara więzienia, ale dług musiał spłacić.

Leśmian zrezygnował w 1935 roku z posady notariusza. Przeniósł się do Warszawy, gdzie w 1936 roku wydał trzeci dopiero i ostatni za życia tom poezji, „Napój cienisty". Wcześniej został wybrany do Polskiej Akademii Literatury. Było to uznanie dla poety, którego przez blisko 10 lat ignorowały „Wiadomości Literackie".

ZOSTAŁ WYBRANY DO POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY. BYŁO TO UZNANIE DLA POETY, KTÓREGO PRZEZ BLISKO 10 LAT IGNOROWAŁY „WIADOMOŚCI LITERACKIE".

Bolesław Leśmian zamieszkał z żoną i córkami przy Marszałkowskiej 17. Korzystał z darmowego biletu PKP i darmowej komunikacji w stolicy (członkowie PAL nie musieli płacić za bilet). Poeta spłacał długi do końca życia. Po jego śmierci okazało się, że komornik zlicytował na poczet długów bibliotekę poety. Na fasadzie kamienicy przy Marszałkowskiej brakuje tablicy pamiątkowej ku czci poety, który tu spędził ostatnie lata swego życia.

Bolesław Leśmian zmarł 5 listopada 1937 roku. Wdowa ogłosiła po śmierci Leśmiana jego ostatni tom wierszy („Dziejba leśna"), zawierający teksty drukowane w prasie i utwory nieznane. Żałować należy, że nie ogłosiła wówczas dramatu „Zdziczenie obyczajów pośmiertnych". W 1956 roku w Londynie wydała jeszcze „Klechdy polskie", nowele prozą oparte na folklorze, których Jakub Mortkowicz nie chciał wydać.

W PRL i w III RP leśmianolodzy pisali często, jakoby twórczość Leśmiana się nie zmieniała, że pozostawała taka sama. Prawda jest inna. Przez 42 lata autor zmieniał się jako człowiek i poeta, zdobywał doświadczenie, poznawał dzieła Husserla, rozczytywał się w pracach o folklorze. W młodości pisał pod wpływem Słowackiego, był parnasistą i symbolistą, bo taką poezję cenił jego mentor, Zenon Przesmycki. Potem inspirował się ideami Bergsona, Spinozy, Nietzschego oraz koncepcją teatru Edwarda Craiga. Wreszcie pod wpływem miłości i dzieł folklorystycznych stworzył ballady niemal ludowe i świetne erotyki, jedne z najpiękniejszych w polskiej literaturze. W latach 30. stracił zaufanie do ludzi, zaczął rozmyślać o przemijaniu i życiu pozagrobowym. Wiersze z tomu „Napój cienisty" i pośmiertnej „Dziejby leśnej" utrzymane są w innej tonacji niż optymistyczna „Łąka", której cykl tytułowy kończy się słowami: „A kto pieśni wysłuchał – niech mi poda dłonie!".

W CZASIE STUDIÓW NAWIĄZAŁ ZNAJOMOŚĆ, KTÓRA PRZERODZIŁA SIĘ W PRZYJAŹŃ, ZE STARSZYM OD NIEGO ZENONEM PRZESMYCKIM, ZWANYM MIRIAMEM.

eprasa.pl ec2e027efa

Kult ciała, hart ducha i zjednoczenie z przeszłością



Wokół Stadio dei Marmi rozciąga się 60 atletycznych rzeźb z marmuru karraryjskiego o wysokości 4 metrów, wykonanych przez 24 artystów i rzeźbiarzy w okresie reżimu faszystowskiego

A gdyby tak, patrząc na architekturę i sztukę z czasów Mussoliniego, zapomnieć o doktrynie faszyzmu? Poważnie, chcę wam **przewrócić świadomość do góry nogami**. Żadnej polityki, tylko analiza formy, funkcjonalności i przystawalności do historii narodu.

Monika Małkowska

Fot. autorka

Co Włosi zawdzięczają Il Duce w przestrzeni miejskiej i w zakresie sztuk wizualnych? Okazuje się, że dużo. Propaganda faszystowska dawno nie formatuje umysłów, za to inwestycje powstałe z jej ducha czy nakazu mają się świetnie.

Bez ideologii

Powie ktoś: tak nie można. Nie da się odseparować faszystowskich kreacji od idei faszyzmu. Na pewno? A gdy staje się wobec dzieł średniowiecznych, czy rozczytuje się je poprzez przekaz biblijny? Przekaz pozostaje tajemnicą, a mimo to trwamy w zachwycie. Także obcując z kreacjami twórców renesansu, nie analizuje się ich pod kątem idei humanizmu, tylko zachwyca się pięknem. I tak dalej przez epoki, pomijamy programowy background, bo... stał się nieaktualny bądź niezrozumiały. Sprawdza się łacińska sentencja „ars longa, vita brevis". Najczęściej z architekturą i twórczością plastyczną minionych epok kontaktujemy się „niewinnie", pozapolitycznie. Chyba tylko socrealizm jednoznacznie kojarzy się nam z polityką, jako że chwytamy konteksty. Centrum Warszawy wciąż szpeci monument sprezentowany nam przez Stalina, by ugruntować „przyjaźń polsko-radziecką" – zaś w istocie stanowi symbol uległości PRL-u wobec wszechpotężnego sąsiada ze wschodu. Ten „dar" jest kiczowaty, trudno adaptowalny do współczesnych potrzeb i coraz bardziej stylistycznie rażący w nowoczesnym otoczeniu.

Wizjonerzy na start

Co innego we Włoszech. W czasie 21 lat rządów faszystów przebudowano centra większości miast w Italii, a także

eprasa.pl ec2e027efa

wzniesiono nowe osiedla i budynki użyteczności publicznej. Tam nic nie było po taniości. Projekty, materiały i wykonawstwo na najwyższym poziomie. Duce interesował się architekturą, zdając sobie sprawę z jej potencjału kształtującego świadomość mas. Umiał wybrać utalentowanych architektów, urbanistów i artystów, którzy, owszem, odpowiadali na jego zapotrzebowania, ale mieli światłe, odważne wizje oraz świadomość odpowiedzialności przed narodem. Ich dzieła są rozsiane po całych Włoszech, z największym zagęszczeniem w Rzymie i Mediolanie (dworzec kolejowy!). Kształty pojedynczych gmachów i całych kompleksów, rozmach planowania, futurystyczna uroda nadal nic estetycznie nie straciły. Co więcej, choć na wskroś nowoczesne (w latach 20. i 30.), idealnie korespondują z zabytkowymi budowlami. Decydującą kwestią są: prostota, proporcje, elegancja i funkcjonalizm. Że trochę ponad ludzką skalę, wbrew włoskiej zasadzie „a misura d'uomo"? Włoscy architekci dowiedli, że monumenty jak dla Gargantui mogą być zgrabne i gwarantować użytkownikom komfort.

Szerokiej drogi!

Mussoliniemu chodziło o przywrócenie wielkości Rzymu jak z czasów imperatorów i to mu się udało. Duce nadzorował plan regulacyjny miasta, opracowany przez grupę architektów (1930–1931), który przewidywał przebudowę zabytkowego centrum, w tym liczne wyburzenia, a celem była poprawa płynności ruchu kołowego Rzymu i... pozbycie się „brudnej malowniczości". Fakt, niszczono stare kamienice, ale mieszkańców przenoszono do nowych i wygodniejszych osiedli na przedmieściach. Poza tym ta dewastacja służyła też odsłanianiu antycznych ruin. To, co powstało we Włoszech – głównie w Rzymie – między połową lat 20. a latami 50. (bo część budowli dokończono po II wojnie) sprawdza się do tej pory i wciąż wywołuje efekt „wow" (albo „mamma mia"). Te kolumnady i podcienia; wysokie, acz wygodne schody; fasady obłożone trawertynem; drzwi jak pałacowe wrota; długie przestronne podejścia; perspektywy pozwalające oczom patrzeć w dal. Mieszanka modernizmu, klasycyzmu i racjonalizmu. Do tej prostoty pasuje zdobnictwo w stylu art déco, a także nurt zrodzony we Włoszech jeszcze wiele lat przed faszyzmem – futuryzm. Jestem pewna, że większość turystów zwiedzających Rzym nie ma pojęcia, iż korzysta z duktów wybudowanych dzięki signore Benito. Choćby w ścisłym centrum – w latach 1928–1930 zrealizowano nową szeroką ulicę, biegnącą od Piazza Venezia (gdzie Mussolini miał biuro) do Circus Maximus; w 1932 r. ukończono Via dell'Impero, szeroką aleję od Piazza Venezia do Koloseum.

Wiedza racjonalnie podana

Doskonałym przykładem rozmachu, racjonalizmu i utylitarności jest kampus uniwersytecki La Sapienza (1932–1935), zlokalizowany w południowo-wschodniej części Wiecznego Miasta. Miasteczko tworzy zespół potężnych i maksymalnie uproszczonych budynków dedykowanych poszczególnym dziedzinom wiedzy. Opracowało je jedenastu architektów pod kierownictwem Marcello Piacentiniego, w ścisłym kontakcie z Mussolinim. Dodajmy, że Uniwersytet La Sapienza, założony w 1303 (!), to największa w Europie placówka edukacyjna i jedna z największych na świecie, gdzie rocznie uczy się 140 tys. studentów, a wykłada ponad 8000 pedagogów. Co do kampusu, oddanego do użytku w 1938 r. – jest idealnie symetryczny, doskonale rozplanowany, tak, by nikt nie zgubił się w wielkiej przestrzeni miasteczka. Architekci kampusu antycypowali współczesne reguły informacji wizualnej samą logiką projektu. Na teren miasteczka prowadzi budynek-brama z potężną kolumnadą, takie Propyleje uniwersyteckie (na wzór świątyń starożytnej Grecji). Środkowy plac w kształcie dużej litery T otaczają geometryczne, całkowicie pozbawione ozdób, surowe bryły instytutów poszczególnych nauk. Dziedziniec zamyka klasycyzujący budynek Rektoratu, jedyny dekorowany płaskorzeźbami. Przed wysokimi schodami prowadzącymi do Rektoratu zbudowano niewielki basen, w wodzie którego odbija się centralnie ustawiony pomnik kobiety trzymającej nad głową rózgi albo wiązki liktorskie. Ich symbolika sięga czasów Etrusków, potem została przejęta przez starożytnych Rzymian i... tak, tak, od słowa „fasci" (wiązka) pochodzi termin „faszyzm". Tak czy siak, kampus wciąż żyje, sprawdza się i imponuje sensownym projektem.

DUCE NADZOROWAŁ PLAN REGULACYJNY MIASTA, KTÓREGO CELEM BYŁA POPRAWA PŁYNNOŚCI RUCHU KOŁOWEGO RZYMU I... POZBYCIE SIĘ „BRUDNEJ MALOWNICZOŚCI".

Przywrócony kult ciała

Starożytny Rzym dbał o zrównoważony rozwój człowieka – cielesny i intelektualny. Il Duce też. Niejako przeciwwagą dla La Sapienzy jest wzniesiony po przeciwnej stronie Rzymu, w dzielnicy północno-zachodniej, gigant dedykowany sportowi. Za inspirację posłużyły fora z czasów

eprasa.pl ec2e027efa

Cesarstwa Rzymskiego. Foro Italico, pierwotnie zwane Foro Mussolini, zaczęto budować w 1928 r., a zakończono dekadę później. Najważniejszy obiekt w tym zespole to Stadio Olimpico z 1932 r., rozbudowany w 1952 r. i powtórnie przebudowany oraz zadaszony w 1990 r. na potrzeby Mistrzostw Świata w piłce nożnej. Olimpico może pomieścić 82 456 widzów, a oprócz futbolu rozgrywane są tu zawody lekkoatletyczne. Poza stadionem są baseny (jest ich pięć, otwarte i kryte) oraz korty tenisowe. Trudno nie podziwiać wizjonerskiej koncepcji całej dzielnicy. Trasa zaczyna się już po prawej stronie Tybru. Na drugi brzeg rzeki przechodzi się po pięknym moście Duca d'Aosta, zbudowanym w latach 30. I wtedy staje się oko w oko przed prawie 18-metrowym, śnieżnobiałym obeliskiem Mussoliniego. To dar ludności Carrary dla Wodza. Nie było łatwo znaleźć tak idealnie czysty, pozbawiony przebarwień i rys kamień, z którego wycięto wysoki blok. Kroniki filmowe relacjonowały skomplikowany i mozolny proces transportu kamienia do Rzymu, a proces ten przywoływał na pamięć budowę piramid. Na pomniku wyryto napis „Mussolini Dux", którego skucie w 2015 r. postulowała związana z lewicą przewodnicząca Izby Deputowanych, ale... po „oburzonej burzy", którą rozpętały jej słowa, zarzucono ten pomysł. Obrońcy status quo uznali, że obelisk to „pomnik historii, narodowe dobro i świadectwo kontynuacji narodowego bytu". Przyznaję im rację, bo tylko w całości koncepcja tego miejsca się tłumaczy. Za obeliskiem rozciąga się Piazzale dell'Impero, szeroki trakt-plac (piazzale to po prostu wielki, rozległy plac), dziś nazwany Viale del Foro Italico. Za nawierzchnię służy tu seria czarnych mozaik (jedna ze starożytnych technik, którym Duce przywrócił świetność); zreinterpretowano w nich sceny z historii Włoch oraz umieszczono odniesienia do sportu. Moją faworytą jest dłoń ze stoperem. Na zamknięciu trasy mamy Fontannę Sfery, dużą białą marmurową kulę na kwadratowym podeście, umieszczoną w niewielkim basenie także otoczonym mozaikami. Kompozycja abstrakcyjna i nowatorska.



Mozaika z Faro Italico

Najpiękniejsze tyłeczki sportowców

Największe wrażenie sprawia antykizujący Stadio dei Marmi (Stadion Marmurów), wzniesiony z prawej strony mozaikowego duktu. Służy jako obiekt treningowy, zwłaszcza dla potrzeb lekkoatletyki. Jego koronę wieńczy 59 marmurowych statui reprezentujących poszczególne dyscypliny sportu. Te czterometrowe posągi fundowały poszczególne prowincje włoskie, co symbolizowało jedność faszystowskich Włoch. I naprawdę naród mógł być dumny z tak urodziwych chłopców o silnej budowie i jędrnych jak jabłuszka tyłeczkach. Ragazzi też byli zagrożeni: w 1959 r., przed igrzyskami olimpijskimi w Rzymie, parlament dyskutował ich rację trwania przy stadionie. Na szczęście zwyciężyły głosy przemawiające na korzyść urody i historycznej wartości rzeźb. Przerobiono nieliczne, o najbardziej prowokacyjnej wymowie. I dzielne zuchy zostały na stanowiskach.

Awangarda nie przeszkadza

Jeszcze słowo o malarstwie. O ile nazizm uznał dokonania ekspresjonistów niemieckich za „sztukę zdegenerowaną", o tyle faszyzm przeciwnie, wyróżnił futuryzm, równie awan-

JESTEM PEWNA, ŻE WIĘKSZOŚĆ TURYSTÓW ZWIEDZAJĄCYCH RZYM NIE MA POJĘCIA, IŻ KORZYSTA Z DUKTÓW WYBUDOWANYCH DZIĘKI SIGNORE BENITO.

eprasa.pl ec2e027efa


Antonio Donghi „Donna alla toeletta" (1930)

gardowy styl, jako oficjalny nurt w malarstwie i rzeźbie. Mussoliniemu pasował wylansowany w 1909 r. przez Marinettiego kult dynamiki miejskiego życia, szybkości, techniki i maszyn. Futuryści odrzucili tradycję i relikty przeszłości jako hamulce rozwoju, starając się w statycznych obiektach oddać ideę ruchu. W latach 20. i 30. to nadal działało. Za skrajny przykład futurystycznej, a właściwie abstrakcyjnej rzeźby wypada uznać podobiznę Mussoliniego w formie... ceramicznego izolatora elektrycznego (1933) autorstwa Renato Berteliego. To „Profilo continuo" (profil ciągły) – forma tak skonstruowana, że z każdego punktu widzenia układa się w profil Wodza. Ciekawy też jest „Portret Mussoliniego na tle Rzymu" Alfreda Ambrosiego (1930): podobizna Duce wpisana w architekturę i panoramę miasta, trochę na podobieństwo portretowych alegorii Arcimboldiego, tyle że „tkanką" twarzy Wodza są budynki i Tybr. W opozycji do futuryzmu w 1923 r. powstał ruch artystyczny Novecento, co dosłownie oznacza „dziewięćset", a tak Włosi nazywają lata 1900–1999, czyli po naszemu XX wiek. Ruch Novecento promował powrót do ładu, formy i klasycznych zasad malarskich. Kobiety u artystów wspomnianej tendencji przybrały na wadze, zyskały ciała zdolne do rodzenia potomstwa i często były przedstawiane z dziećmi, jako propagatorki macierzyństwa. Ten ukłon w stronę tradycji musiał się Mussoliniemu podobać. Faszyzm postulował tradycyjny podział społecznych ról: mężczyźni mieli pracować i walczyć, zaś kobiety – strzec domowego ogniska, rodzić i wychowywać progeniturę. W Novecento interesująca jest wizja człowieka, która oscyluje pomiędzy realistycznym, trochę zimnym wyobrażeniem, jak u Achille Funi, a postacią metafizyczną, przypominającą manekina pozbawionego twarzy. Z tych drugich przedstawień zionie melancholią. Osamotnione figury przebywają w niby-miejskich, pustych przestrzeniach o dramatycznych perspektywicznych skrótach – co znamy z prac Giorgia de Chirica.

E.U.R., czyli miasto idealne

Skoro mowa o de Chiriku – budowle widoczne na jego wczesnych obrazach zdają się antycypacją najbardziej fascynującego dokonania z czasów Mussoliniego: nowej dzielnicy Rzymu nazwanej E.U.R. (skrót od Esposizione Universale di Roma, wystawy światowej planowanej na rok 1942, na 20-lecie faszyzmu). Oddalona 7 km od centrum E.U.R. miała być wzorcowym ośrodkiem miejskim, po prostu idealnym urbanistycznym założeniem. Utopia? A czym jest Zamość, jak nie próbą realizacji renesansowego „miasta idealnego"? Do E.U.R. prowadzą Wrota Imperialne, od których odchodzi szeroka ulica o tej samej nazwie. Ikoną tego miejsca jest tzw. Kwadratowe Koloseum, czyli Palazzo della Civiltà Italiana. Powstawał długo – zaczęty w 1938 r., otwarty, choć nieukończony, w 1940 r.; prace trwały jeszcze do 1943 r., a dokończono je po wojnie. Jego regularną, sześcienną bryłę „dziurawią" na każdym z sześciu pięter łukowate przejścia na galerie, zaś dolną kondygnację zdobi galeria neoklasycznych figur ponadnaturalnej wielkości, wykutych w karraryjskim marmurze. Naprawdę robi wrażenie. I uwodzi filmowców (takich jak Roberto Rossellini, Federico Fellini, Michelangelo Antonioni czy Peter Greenaway) jako naturalna scenografia. W „Kuszeniu doktora Antonia" Anita Ekberg wychodzi z plakatu i spaceruje po E.U.R. Warto zrobić to samo.

MUSSOLINIEMU PASOWAŁ WYLANSOWANY W 1909 R. PRZEZ MARINETTIEGO KULT DYNAMIKI MIEJSKIEGO ŻYCIA, SZYBKOŚCI, TECHNIKI I MASZYN.

eprasa.pl ec2e027efa

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Maria Jarema: Owale, mżenia, przepływy

Jest obecna w historii polskiej sztuki – i pewnie „w tyle głowy", w tym prywatnym muzeum, gdzie gromadzimy kilkaset powidoków. Czy ma szanse na powrót do powszechnie rozpoznawanych?

Wydawałoby się, że tak – że te abstrakcje o organicznych kształtach, „przepływające" twory o różnym gradiencie przezroczystości, złamane, rzadko pełnokrwiste barwy kojarzymy, czasem z podręczników, czasem, bagatela, ze znaczków pocztowych. Ale malarzy abstrakcyjnych trudniej się kojarzy niż patetycznych realistów, wiele rozwiązań wykorzystywanych jest po wielokroć, a Maria Jarema doczekała się wielu naśladowców, a jednocześnie – zmarła młodo. Częściej przywoływano ją w pokoleniu naszych rodziców czy dziadków.

Wtedy pamiętano jej odmowę włączenia się w socrealizm, trwanie na dobrowolnym wygnaniu aż po odwilż w połowie lat 50. Pasmo sukcesów na Zachodzie (reprezentowała Polskę na weneckim Biennale w 1958!), imponujących wtedy nad Wisłą pewnie bardziej niż dziś. Poruszała jej walka z nieuleczalną białaczką; powszechnie dopatrywano się, jak później u Aliny Szapocznikow, szczególnego rodzaju „więzi" między chorobą artystki a dziełem, które miało być swego rodzaju sublimacją, dramatycznych doświadczeń cielesnych. „Takich aktów nie malowali jeszcze nigdy. [...] Na kartonie jak na przeźroczystej szybie widać było krew. Krew człowieka pod mikroskopem. Czerwone ciałka krwi. Płytki krwi. Czarny. Czerwony. Biały. Żółty. [...] M. była malarką krajobrazów swojego organizmu. Najlepiej tłumaczył ją podręcznik biologii" – pisał Tadeusz Różewicz w „Najpiękniejszym mieście świata", opowiadaniu traktującym o malarce.

Dziś ta pamięć jest bardziej odległa, choć biografia artystki, przed kilku laty błyskotliwie odtworzona w książce Agnieszki Daukszy, nie przestaje frapować. Łatwiej nam pewnie pogodzić się z jej przedwojennym radykalizmem politycznym: wiemy, że takie były wtedy szlaki i wybory awangardy, możemy zastanawiać się, dokąd zaprowadziłyby Jaremę i jej rówieśników, gdyby nie Jałta. II RP, krytykowana przez nią w latach 30. za słabość państwowego mecenatu artystycznego, wysyłała ją jednak, wraz z większością Grupy Krakowskiej, do której należała, na stypendia do Francji i nie oponowała przeciw wzniesieniu pomnika ku czci robotników



Maria Jarema, „Penetracje I", 1957, tempera, monotypia na papierze przyklejonym na płótnie, Muzeum Sztuki, Łódź

krakowskiego Semperitu, którzy zginęli w 1923 r. w starciach z policją – inaczej niż zatrzaskująca przed nią drzwi i skazująca na zapomnienie „Polska Ludowa".

Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej sięga szeroko, prezentując dorobek Jaremy w inny niż dotąd sposób. Pokazanie na wystawie większej części księgozbioru artystki (tomy wierszy, portfolia awangardzistów zachodnich, stosy prasy fachowej) doskonale ilustruje intensywność „przepływów", podobnie jak odważne, pomysłowe i w pełni uzasadnione posunięcie, jakim jest zestawienie obrazów i grafik malarki ze współczesnymi jej artystami tworzącymi na Zachodzie. Te „dyptyki" (z Jeanem Deyrolle, Hansem Hartungiem czy Jeanem Hélionem) nie są w żadnym razie demaskowaniem naśladownictwa czy wtórności – wręcz przeciwnie, wskazują na wspólnotę wysiłku. Uderzające wręcz (i bardzo pochlebne dla Jaremy) jest jej zestawienie z Matissem, TYM Matissem, traktowanym zresztą przez nią jako jeden z mistrzów: o ile dalej idzie jej „Akt" (z 1946) w porównaniu z „Młodą kobietą w różu" (1942) Matisse'a – choć oba wychodzą od tej samego, cukierkowego, spłowiałego różu i słomkowej żółci!

Oczywiście – jest to Muzeum Sztuki Nowoczesnej, jedna z najbardziej dziś chyba wzmożonych ideowo placówek w Warszawie, nie mogło więc się obejść bez podkreślania zarówno zaangażowań politycznych Jaremy, jak i wszystkich

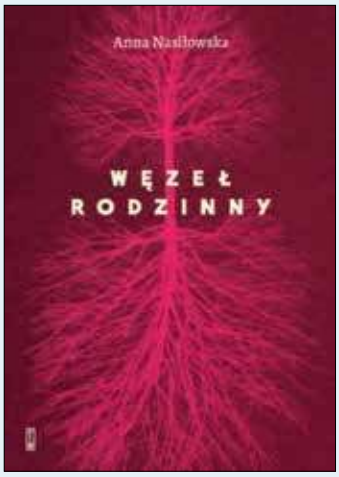
eprasa.pl ec2e027efa

jej działań, które da się wpisać w formułę „emancypacyjną”. Nie do końca przekonują prezentowane przez oboje kuratorów interpretacje tytułu wystawy: czy „pęknięcie” odnosić się ma do samych eksperymentów z techniką monotypii, do cięć i nieciągłości, widocznych na prezentowanych grafikach, do napięcia między „ja” artystycznym Jaremy a narzucaną przez komunizm estetyką (bądź dominującymi na Zachodzie prądami), czy – co mocno trąci mi „kuratorskim” slangiem – „balansowaniem między wolą lub pragnieniem osiągnięcia totalności, pełni i stabilności, a pęknięciem”, jak ogłoszono na łamach „Vogue”? Mon Dieu, któż nie balansuje między pragnieniem osiągnięcia totalności i pełni?

Można pewnie wzruszyć ramionami na tę otoczkę, nieuchronną w hiperpostępowych murach MSN, i podarować sobie kwadrans lub dwa w jasnych salach. Przedwojenne próby rzeźbiarskie, awangardowe skorupki, układane na nowo po obaleniu zbyt już banalnych posągów jeźdźców i afrodyt. „Filtry 12”, wspaniała oranżowo-żółta-stalowoszara monotypia z „domalunkami” farbą olejną i ołówkowymi dorysowaniami. „Wyrazy V”, o rok późniejsze – znużone jakby sylwetki, akwamarynowa i cielista, przetykane zaoblonymi, jasnobrązowymi owalami. No cóż, to barwy października. I – Października.

„Maria Jarema. Pęknięty modernizm”, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa, 20 marca – 28 czerwca 2026.
Kuratorzy: Natalia Sielewicz i Éric de Chassey.

Węzeł, utkanie



Biblioteka Narodowa i dwa wyspecjalizowane chaty GTP wspólnym wysiłkiem oszacowały liczbę autobiografii i „kronik rodu” wydawanych rokrocznie w Polsce na kilkaset. Myślę, że nie uwzględniły wszystkiego, co ukazuje się nakładem lokalnych oficyn czy w trybie self-publishingu – a i tak drukiem publikowana jest pewnie dziesiąta, jeśli nie mniejsza, część wspomnień spisywanych i gromadzonych „dla użytku i potrzeb rodziny”. Co w końcu bardziej naturalnego, jak opowiedzieć o korzeniach, z których wyrosło drzewo? Od genealogicznego „wywodu” zaczynają się liczne księgi Biblii – i, bagatela, „Pamiętniki Tatusia Muminka”.

Wszystko, co udaje się zachować i utrwalić w takich zapiskach, jest cenne, dla historyków – bezcenne, i kto wie, czy nie powinny powstać programy państwowe wspierające takie wysiłki: żadne kwerendy archiwalne, żadne nagrywanie świadków nie da tyle, co zszywanie patchworku z relacji i wspomnień rodzinnych. Zazwyczaj jednak takie biografie rodu to kopalnia przede wszystkim faktów, danych jednostkowych, anegdot, okruchów obyczaju – czasem z dodatkiem refleksji nad obrotami własnego lub przodków losu, nad jego możliwymi innymi wariantami, nad szczęśliwymi zbiegami okoliczności. „O chrząstce ucha ledwie draśniętej pociskiem/ – gdy głowa uchyliła się w ostatniej chwili –/ «cholerne miałem szczęście» mawiałby”.

„Węzeł rodzinny” Anny Nasiłowskiej jest jednak na tle tego rodzaju dorobku czymś wyjątkowym. Prawda, autorka miała wyjątkowe kwalifikacje do jego napisania, jako historyczka literatury, poetka i powieściopisarka, autorka kilku ważnych biografii, w tym Sławomira Mrożka. Wykorzystała jednak te talenty w pełni, pokazując nam, czym m o ż e b y ć „wywód biograficzny”.

Oczywiście: punktem wyjścia jest porządek faktów: rytmy i kataklizmy „Wielkiej Historii” (pierwsza wojna, wielki kryzys, wrzesień ’39, okupacja niemiecka i wejście Sowietów, powojenna nędza, represje i okna wolności) są jak podskakujące krosna, na których tkane są indywidualne losy: pradziadków, dziadków, obojga rodziców, stryjów i kuzynów. Raz i drugi przecięte chorobą czy odłamkiem niczym nożycami Parki, częściej – biegnące, zdumiewającym ściegiem, smugą, w nieoczekiwane strony.

To jednak dopiero pierwsza warstwa opowieści o tym, jak jesteśmy kształtowani przez wszystko, co w naszych rodzinach: przez genotyp (a co za tym idzie wykrój oczu i skłonność do pewnych chorób), ale i przez determinanty nieporównanie delikatniejsze: przez cechy charakteru, silne doznania (wygrane, zawody, porażki), słabości (ale i wielkie cnoty) tychże: dziadków, stryjów, rodziców. Wszystko to, trudno pochwytny splot cech, który nazywamy „osobowością”, przenosi się jak pieczęć, coraz bardziej miękko odciśnięta, zatarta na kolejnych warstwach papieru; jak frotaż, czyli „odciskanie” ołówkiem faktury przedmiotu leżącego pod kartką, najczęściej drobnej monety. Jak kopiowany pierwszy splot DNA czy tkaniny.

Sztuka dotarcia do tego, co nas ukształtowało – i opisania tego bez żalu, bez wyrzutu, owszem, z wdzięcznością – jest w moich oczach ogromnym atutem tej książki. Gdyby ruszyły programy państwowe, wspierające pisanie wspomnień rodzinnych – zaleciłbym „Węzeł…” jako pierwszą, obowiązkową lekturę.

Anna Nasiłowska, „Węzeł rodzinny”, PIW, Warszawa 2026.

eprasa.pl ec2e027efa

14 KWIETNIA – Święto Chrztu Polski

„Ku powieści tej nakłoń ucha, ludu wierny mój, a posłuchaj i miej wiecznie przed oczami, kimżeś między narodami…” – rozpoczyna swój utwór „**Psalm rodowodowy**” prof. Jacek Kowalski.

Agnieszka Żurek



Fot. Fundacja SŁOWO

W tym roku przypada 1060. rocznica wydarzenia dla Polski najważniejszego z perspektywy duchowej, cywilizacyjnej i tożsamościowej – przyjęcia chrztu przez władcę Polan, Mieszka.

„Że kobieta krzyż przyniosła”

„Zatem przodek Twój złożył zbroję, skoro ujrzał dziedzictwo swoje. I szczęśliwy już Sarmata szablę z pługiem chętnie zbratał. Zaraz potem ochotnie zniża kark swój hardy przed znakiem krzyża, w czym wiadomość jest doniosła, że kobieta krzyż przyniosła” – kreśli ten moment w swojej poetyckiej wizji Kowalski, nawiązując do odnotowanego przez historyków faktu, że do przyjęcia Chrystusa nakłoniła Mieszka jego pobożna żona, czeska księżniczka Dobrawa.

„Owa wyznawczyni Chrystusa, widząc swego małżonka pogrążonego w wielorakich błędach pogaństwa, zastanawiała się usilnie nad tym, w jaki sposób mogłaby go pozyskać dla swojej wiary. Starała się go zjednać na wszelkie sposoby, nie dla zaspokojenia trzech żądz tego zepsutego świata, lecz dla korzyści wynikających z owej chwalebnej i przez wszystkich wiernych pożądanej nagrody w życiu przyszłym” – pisze Thietmar z Merseburga.

„Pracowała więc nad nawróceniem swego małżonka i wysłuchał jej miłościwy Stwórca. Jego nieskończona łaska sprawiła, iż ten, który Go tak srogo prześladował, pokajał się i pozbył na ustawiczne namowy swej ukochanej małżonki jadu przyrodzonego pogaństwa, chrztem świętym zmywając plamę grzechu pierworodnego. I natychmiast w ślad za głową i swoim umiłowanym władcą poszły ułomne dotąd członki spośród ludu

eprasa.pl ec2e027efa

i w szatę godową przyodziane, w poczet synów Chrystusowych zostały zaliczone" – kontynuuje średniowieczny kronikarz.

Wielka Sobota wypadała w 966 roku 14 kwietnia, a wówczas – podobnie zresztą, jak i dziś – ten właśnie dzień był preferowanym momentem przyjmowania w uroczysty sposób sakramentu chrztu. Miejsce, gdzie dokonało się wstąpienie władcy Polan na łono Kościoła, jest nieznane. Jan Długosz twierdzi, że dokonało się to w Gnieźnie, inne źródła mówią o Poznaniu, Polach Lednickich bądź nawet o... czeskiej Pradze. Niezależnie od tego, gdzie ustanowiono sakrament, decyzja ta okazała się brzemienna w skutki – odtąd księstwo Mieszka znalazło się pod wpływem wzorców zachodnioeuropejskiej cywilizacji chrześcijańskiej, wokół nich kształtując własną państwowość, system prawny i edukacyjny.

Powrót do źródła

Święto Chrztu Polski zostało ustanowione ustawą z 22 lutego 2019 roku jako święto państwowe. Wciąż jest jednak mało znane, choć właściwie wszystkie pozostałe święta pośrednio lub bezpośrednio z niego właśnie wyrastają. – Z perspektywy chrześcijańskiej nie jest to jedynie rocznica o znaczeniu historycznym. Chrzest Polski był nie tylko aktem o wymiarze politycznym i cywilizacyjnym, ale przede wszystkim wejściem naszych dziejów w przestrzeń Ewangelii. To od tego momentu rozpoczęła się na ziemiach polskich historia Kościoła, głoszenia Chrystusa, sprawowania sakramentów oraz budowania wspólnoty zakorzenionej w wierze. Dlatego 14 kwietnia warto przeżywać nie tylko jako datę z podręcznika, ale jako dzień wdzięczności za dar wiary i wezwanie do odnowienia świadomości własnego chrztu w rodzinach, parafiach, wspólnotach i stowarzyszeniach katolickich – wskazuje Jan Klawiter, prezes fundacji SŁOWO, poseł na Sejm RP, inicjator obchodów rocznicy Chrztu Polski.

– Święto to niesie także bardzo konkretny wymiar duszpasterski i formacyjny. To dobry moment na Eucharystię w intencji Ojczyzny, adorację, katechezę o znaczeniu chrztu, modlitwę za rodziny i młode pokolenie, a także na przypomnienie wiernym, że własny chrzest nie jest wyłącznie faktem zapisanym w księdze parafialnej, ale początkiem życia w Chrystusie. Wspólnoty, ruchy i stowarzyszenia katolickie mogą włączyć się w obchody przez organizację spotkań formacyjnych, akademii, apeli, wykładów, wieczorów modlitwy oraz działań informacyjnych w przestrzeni publicznej. Sama idea święta zachęca bowiem nie tylko do pamięci, ale również do świadectwa – dodaje.

> Warto to święto potraktować poważnie – nie jako rocznicę do odnotowania, ale jako dzień duchowego **powrotu do źródła**.

Z myślą o ułatwieniu organizowania obchodów na szczeblach lokalnych, szkolnych, samorządowych czy parafialnych fundacja SŁOWO przygotowała materiały edukacyjne – teksty, pieśni, rozważania, grafiki, plakaty etc., które można bezpłatnie pobrać na stronie: swietochrztu.pl.

– Witryna została stworzona, by udostępniać materiały dla uczniów i nauczycieli, koncentrując się zwłaszcza na scenariuszach apeli szkolnych i akademii, które mogą pomóc szkołom w organizacji lokalnych obchodów. To ważne narzędzie nie tylko dla placówek oświatowych, ale także dla parafii, mediów katolickich, katechetów i organizacji społecznych, które chcą przeżyć to święto w sposób świadomy i dobrze przygotowany – wskazuje Jan Klawiter, dodając, że na stronie dostępne są również materiały promocyjne do akcji „Wywieś flagę", w tym grafiki i banery pomocne w parafialnej, szkolnej i lokalnej promocji Święta Chrztu Polski.

– To gotowe narzędzia dla wspólnot, stowarzyszeń, szkół i samorządów, które chcą nadać obchodom bardziej widoczny, publiczny charakter – zaznacza. – Tegoroczne obchody będą miały również szerszy wymiar publiczny. 19 kwietnia 2026 r. w Warszawie odbędzie się Narodowy Marsz Życia, który ma być także formą uczczenia 1060. rocznicy Chrztu Polski. Wydarzenie ma wyrażać wdzięczność za dziedzictwo, teraźniejszość i przyszłość chrześcijańskiej Polski, a samo spotkanie ma być świadectwem wiary, wierności oraz przywiązania do życia i rodziny – podkreśla prezes fundacji SŁOWO, dodając, że Święto Chrztu Polski warto potraktować poważnie – nie jako rocznicę do odnotowania, ale jako dzień duchowego powrotu do źródła.

Punktem wyjścia do refleksji podczas tegorocznych obchodów rocznicy ustanowienia polskiej państwowości może stać się myśl prof. Andrzeja Nowaka zapisana na kartach „Dziejów Polski": „Mieszko z pewnością brał pod uwagę kwestie polityczne, kiedy decydował się na chrzest. Ale czy nie zastanawiał się też nad tym, co przyjęcie nowej wiary znaczyć może dla niego osobiście, jaki sens nadaje jego życiu, jaką mu daje nadzieję? To dotyczy nie tylko samego władcy w roku 966, ale po Mieszku kolejnych pokoleń mieszkańców państwa, którym rządzić będą jego spadkobiercy, a wyposażać duchowo będą następcy pierwszych księży przyjętych na gnieźnieńskim i poznańskim dworze. To nie tylko wybór politycznej drogi, nie tylko nawet historycznej tożsamości, ale wybór wiary – na oczekiwaną wieczność".

eprasa.pl ec2e027efa

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

„Nie może już czekać”. POGOTOWIE STRAJKOWE W PGG I PKW



Fot. M. Żegliński

Związki zawodowe, w tym NSZZ „Solidarność”, działające w Polskiej Grupie Górniczej ogłosiły 8 kwietnia pogotowie strajkowe. Tego dnia – według informacji związkowców – miało się odbyć spotkanie strony społecznej z przedstawicielami rządu, ale ostatecznie do niego nie doszło.

W ocenie strony społecznej pieniędzy na funkcjonowanie PGG wystarczy tylko do czerwca.

– Rząd wyznaczył datę spotkania na temat dalszego funkcjonowania PGG na 26 marca. Potem przełożył rozmowy na 8 kwietnia. Dzisiaj odwołał spotkanie i nie wyznaczył żadnej nowej daty. My nie możemy już czekać, bo sytuacja PGG jest bardzo trudna. Jeśli rząd szybko nie przedstawi rozwiązań, spółce grozi upadłość w perspektywie kilku miesięcy – skomentował Bogusław Hutek, przewodniczący Solidarności w PGG, cytowany przez portal wKatowicach.eu.

– Czekamy do końca tygodnia na odzew ze strony premiera Donalda Tuska. Jeśli reakcji ze strony rządu nie będzie w przyszłym tygodniu, spotkamy się w gronie wszystkich organizacji związkowych i podejmiemy decyzje dotyczące dalszych działań. Jesteśmy przekonani, że górnikom nie zabraknie determinacji, żeby bronić

eprasa.pl ec2e027efa


Fot. M. Żegliński

„Dzisiaj politycy mówią: już zarabiają godnie, już im wystarczy. Nie! My chcemy, żeby polski lekarz, polska pielęgniarka, polski rehabilitant i każdy inny pracownik, także ten niemedyczny [...], żeby oni nadal mogli mieć wzrost wynagrodzeń”.

Maria Ochman, przewodnicząca Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ „S”, na pikiecie przed Ministerstwem Zdrowia, 7 kwietnia br.

swoich kopalń i miejsc pracy na Śląsku – dodał.

Pismo o rozpoczęciu pogotowia strajkowego zostało przekazane premierowi Donaldowi Tuskowi i ministrowi Miłoszowi Motyce.

Pogotowie strajkowe ogłosiły także związki zawodowe działające w Południowym Koncernie Węglowym.

Polska Grupa Górnicza to największy producent węgla kamiennego w Polsce i Unii Europejskiej. Spółka posiada 7 kopalń i zatrudnia 35 tysięcy osób. Z kolei Południowy Koncern Węglowy zarządza trzema zakładami górniczym, są to: ZG „Sobieski” w Jaworznie, ZG „Brzeszcze” w Brzeszczach oraz ZG “Janina” w Libiążu. W kopalniach tych wydobywany jest węgiel, który trafia głównie do sektora energetycznego, ciepłowniczego i gospodarstw domowych. S

ŚWIĘTA W „SOLINO”

Głodujący pracownicy inowrocławskiej spółki „Solino” spędzili Święta Wielkanocne w biurowcu administracyjnym firmy. Nie zdecydowali się na zawieszenie protestu, a w Wielką Sobotę jeden z nich trafił do szpitala.

– Wśród nas są tacy, którzy po raz czwarty w historii „Solino” zmuszeni są upominać się o to, co najważniejsze. To bolesny znak czasu, ale i świadectwo niezłomności ludzi, którzy nie nauczyli się obojętności wobec krzywdy, lekceważenia i zagrożenia dla przyszłości zakładu oraz bezpieczeństwa energetycznego naszej ojczyzny – oznajmili protestujący.

W Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego odwiedził ich przewodniczący toruńsko-włocławskiej Solidarności Tomasz Jeziorek wraz ze swoim zastępcą Mariuszem Kawczyńskim oraz członkiem prezydium Przemysławem Morgulskim.

Tego dnia w portierni IKS „Solino” po raz kolejny odprawiono Mszę Świętą dla protestujących pracowników spółki i ich rodzin.

Po kilku dniach, dokładnie 8 kwietnia, do szpitala trafił kolejny uczestnik protestu głodowego.

OWOCE NEGOCJACJI

Solidarność podpisała porozumienie w gliwickiej Walcowni Metali Nieżelaznych „ŁABĘDY” gwarantujące pracownikom wzrost wynagrodzeń zasadniczych o 300 zł brutto z wyrównaniem od stycznia. Spółka zajmująca się produkcją niszowych wyrobów płaskich z miedzi i stopów miedzi wchodzi w skład Grupy KGHM Polska Miedź i zatrudnia ponad 180 pracowników.

Podwyżki wynagrodzeń wynegocjowały także związki zawodowe działające w Grupie Kapitałowej Węglokoks Energia, która dostarcza ogrzewanie i ciepłą wodę w takich miejscowościach jak Libiąż, Bieruń, Brzeszcze, Lędziny, Wola i Ruda Śląska. Rozmowy płacowe trwały tam od jesieni zeszłego roku.

Pracownicy spółek wchodzących w skład Grupy otrzymają pensje wyższe o 350 zł brutto od czerwca br. z wyrównaniem od kwietnia. Do tego dojdą niewielkie podwyżki indywidualne oraz dwie nagrody za święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc – po 1500 zł każda.

M.K.

Kalendarium Solidarności

16.04.1991 – Komisja Krajowa NSZZ „S” ustanawia 28 kwietnia dniem pamięci pracowników – ofiar wypadków przy pracy;

17.04.1989 – ponowna rejestracja NSZZ „Solidarność” przez Sąd Wojewódzki w Warszawie następuje po siedmiu latach, czterech miesiącach i czterech dniach od wykreślenia Związku z rejestru;

20–25.04.1990 – w hali „Olivia” w Gdańsku odbywa się II Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Jego uczestnicy opowiadają się m.in. za ochroną życia poczętego.

eprasa.pl ec2e027efa

Zakaz wstępu na teren kopalni „Silesia” dla przewodniczącego „S”

– Nie zostaliśmy wpuszczeni do biur związkowych. Tam jest sprzęt, są dokumenty. Nie wiemy, co się z tym dzieje – mówił funkcjonariuszom policji **Grzegorz Babij**, przewodniczący zakładowej Solidarności w PG „Silesia” w ubiegłym tygodniu, kiedy próbował dostać się na teren kopalni. Próby wejścia się nie powiodły. Grzegorz Babij złożył w związku z tym do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa w postaci przywłaszczenia mienia związkowego i utrudnienia działalności związkowej.

Barbara Michałowska



Fot. M. Żegliński

Przewodniczący zakładowej Solidarności w PG „Silesia" Grzegorz Babij w ubiegły wtorek i środę próbował wejść na teren kopalni. Towarzyszyli mu jej pracownicy, którzy w ostatnich dniach otrzymali wypowiedzenia.

„Zostaliśmy zdradzeni"

– Przez dwa miesiące pracodawca nie dopuszczał mnie do pracy. Wczoraj przyszło zawiadomienie o zwolnieniu ze skróconym czasem wypowiedzenia – przekonuje jeden ze zwolnionych.

– Myśmy wyjechali z taką nadzieją, że będzie wszystko dobrze. Byliśmy przekonani, że wywalczyliśmy dla siebie lepszą przyszłość, w interesie załogi i w interesie kopalni. Zostaliśmy oszukani, po prostu zdradzeni. Ja się czuję rozgoryczony – mówi i dodaje, że w kopalni pracował 13 lat.

– Przykre. Po tylu latach zostaliśmy tak potraktowani i nie do końca wiemy za co – dodaje górnik, którego zwolniono po 15 latach pracy.

– Nie uzyskałem informacji, za co zostałem zwolniony, choć próbowałem się tego dowiedzieć – zaznacza.

Blokada

Przewodniczący nie został wpuszczony. Jak tłumaczyli ochroniarze stojący przy wejściu na teren kopalni, nie może on wejść, ponieważ nie jest pracownikiem firmy Bumech.

Wcześniej Grzegorz Babij mówił nam, że nie został przeniesiony do nowego zarządcy kopalni, nie otrzymał jednak wypowiedzenia z pracy. Jest więc pracownikiem PG „Silesia". Przewodniczący podkreślił, że przed Świętami Wielkanocnymi nikt nie blokował mu wstępu do nowego lokalu związkowego wyznaczonego przez pracodawcę, gdy przewoził tam sprzęt i dokumenty związkowe. Problem z wejściem pojawił się we wtorek, 7 kwietnia, a dzień później również nie wpuszczono go na teren zakładu.

W związku z tym przewodniczący Babij powiadomił policję. Nie udało się jednak wejść na teren kopalni nawet w asyście policjantów. Na miejscu nie pojawił się nikt, kto mógłby zdecydować o wpuszczeniu na teren kopalni związkowców. Strażnicy poinformowali policjantów, że od 18 marca na ten teren nie mogą wchodzić osoby, które nie są pracownikami Bumechu. Grzegorz Babij jednak wchodził tam po tym terminie wielokrotnie, przenosząc sprzęt i dokumenty związkowe.

Utrudnianie działalności

W rozmowie z portalem Tysol.pl Grzegorz Babij dodał, że od dłuższego czasu Solidarność spotyka się z działaniami, które w pojęciu związkowców mają symptomy utrudniania działalności związkowej.

– Mamy niewypłacane w terminie wynagrodzenia nawet wtedy, kiedy ludzie dostają je normalnie, to my, aby je dostać, zawsze musimy interweniować. Zostało nam wypowiedziane biuro. Dostaliśmy nowe, na terenie zakładu. Kiedy przewoziliśmy dokumenty, urządzenia będące własnością Solidarności, wówczas nikt nas nie zatrzymywał. A dzisiaj, kiedy te wszystkie dokumenty, urządzenia są już na terenie kopalni, dostaliśmy zakaz wejścia – mówił w ubiegły wtorek Grzegorz Babij.

Jak przekazał, mimo licznych apeli, skarg i zawiadomień sytuacja w zakładzie nie poprawia się, a pracodawca w swoich działaniach posuwa się coraz dalej, bo nie spotykają go za nie żadne konsekwencje.

– Po prostu nasze państwo jest mocne wobec słabych, a słabe wobec mocnych – zaznaczył Grzegorz Babij.

OD LUTEGO 2026 R. SZEREG PRACOWNIKÓW NIE JEST WPUSZCZANYCH NA TEREN ZAKŁADU PRACY POMIMO STATUSU ZATRUDNIONYCH PRACOWNIKÓW.

„Bezprawne niedopuszczenie do pracy"

Przewodniczący chciał również złożyć pismo wystosowane przez Solidarność, a skierowane do zarządcy masy sanacyjnej PG „Silesia". Napisano w nim m. in: „Z przekazanych mi informacji wynika, iż w okresie począwszy od lutego 2026 r. szereg pracowników – ok. 40 osób – nie jest wpuszczanych na teren zakładu pracy pomimo statusu zatrudnionych pracowników. [...] Bezprawne niedopuszczenie do pracy to sytuacja, w której pracodawca bez uzasadnionej przyczyny prawnej uniemożliwia pracownikowi wykonywanie jego obowiązków".

Strażnicy poinformowali, że nie ma odpowiedniej osoby, która mogłaby przyjąć pismo.

Wobec zaistniałej sytuacji przewodniczący Babij złożył zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa w postaci przywłaszczenia mienia związkowego i utrudnienia działalności związkowej. Zapowiedział również, że na teren kopalni będzie także próbował wejść w kolejnych dniach.

eprasa.pl ec2e027efa

„Sobieski” gotowy na długie fedrowanie

– Eksploatacja szybu „Grzegorz” będzie odbywać się poza terenem zurbanizowanym, pod lasem, więc nie będziemy nikomu zagrażać. Tamtejsze złoża mamy wydobywać do 2049 roku, ale mając tak długą koncesję, możemy to robić spokojnie do 2063 roku. I ten węgiel jest naprawdę bardzo dobrej jakości – mówi **Dariusz Piechowicz**, nowy przewodniczący Solidarności w Zakładzie Górniczym „Sobieski” w Jaworznie, w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

– O połączeniu jaworzniańskiej kopalni „Sobieski” z kopalnią „Janina” w Libiążu mówi się od dłuższego czasu. Jakie uzasadnienie dla tej decyzji przedstawia państwa właściciel Południowy Koncern Węglowy?

– Prawdę powiedziawszy, to nie znamy żadnego uzasadnienia dla połączenia tych kopalni. Mówi się o rzekomych oszczędnościach, ale nikt nam tego dokładnie nie przedstawił na żadnym spotkaniu. Jesteśmy całkowicie temu przeciwni, bo to wprowadzi jeden wielki chaos, zwłaszcza że w planach jest przeniesienie dyrekcji do Libiąża – nie wiemy, dlaczego ta dyrekcja nie mogłaby zostać w Jaworznie. A przede wszystkim problemem jest sama odległość pomiędzy Jaworznem a Libiążem. To jest około 15 kilometrów. My nie jesteśmy w ogóle połączeni dołem z tą kopalnią, więc to spowoduje tylko chaos.

> DOBRZE WIEMY, ŻE JEDNA I DRUGA STRONA SCENY POLITYCZNEJ MAJĄ WIELE WSPÓLNEGO Z POLITYKĄ ODCHODZENIA OD WĘGLA.

– Zakład Górniczy „Sobieski” posiada najdłuższą w kraju koncesję na wydobycie węgla. Macie prawo fedrować aż do 2063 roku. Uważa Pan, że proces odchodzenia od paliw kopalnych zostanie w jakiś sposób zatrzymany czy pogodziliście się już z tym trendem w energetyce?

– W momencie, kiedy podpisywaliśmy umowę społeczną w 2021 roku, zdecydowaliśmy się de facto na likwidację górnictwa. Taki wtedy był trend i on w dalszym ciągu funkcjonuje, zwłaszcza w umysłach europejskich elit. Teraz zaczyna się coś zmieniać u naszych polityków, ale to również jest element kampanii przed wyborami w przyszłym roku, aby swoje wszystkie błędy wyciszyć, odsunąć na bok. Dobrze wiemy, że jedna i druga strona sceny politycznej mają wiele wspólnego z polityką odchodzenia od węgla. To, co Unia Europejskie każe im robić, to oni robią.

Trzeba jednak zdać sobie sprawę z dwóch kwestii. Po wybuchu wojny na Ukrainie szybko sprowadzano węgiel z Kolumbii do Polski. Ten węgiel był nie wiadomo jakiej jakości, bo po odsianiu grubego asortymentu do dzisiaj mamy kłopot z tym, co z niego zostało.

Teraz mamy wojnę na Bliskim Wschodzie i okazuje się, że w każdej chwili może nam zabraknąć gazu, który miał być paliwem zastępczym. Widzimy przecież, co dzieje się na rynkach i jak ceny gazu poszły w górę. Dlatego myślę, że w końcu ktoś przejrzy na oczy i doceni ten surowiec, który mamy w kraju, i oprze na nim naszą rodzimą energetykę, zanim będziemy mieli inne stabilne źródło energii. Bo jak na razie o elektrowni jądrowej mówi się od kilku dekad, ale nic z tym nie zrobiono, nawet łopata nie została wbita pod jej budowę.

eprasa.pl ec2e027efa



Fot. M. Żegliński

– Przechodzenie z bloków węglowych na gazowe to już trend ogólnokrajowy. Państwa kopalnia dostarcza węgiel do Elektrowni Jaworzno, a TAURON planuje tam budowę gazowych jednostek szczytowych o mocy ok. 600 MW.

– Tak, ale już chyba zmienia się coś w tej mentalności, bo okazało się, że najprawdopodobniej bloki węglowe 200 MW będą remontowane i będą one miały wydłużoną żywotność. Także nie wiadomo, czy ktoś czasem nie uderzył się w pierś i nie spostrzegł, co dzieje się na całym świecie w geopolityce.

– Dlaczego głębienie szybu „Grzegorz" jest dla Państwa tak ważną inwestycją i kiedy zostanie ona ukończona?

– To jest inwestycja ważna dla całej Polski. Kopalnia „Sobieski" ma bezpośrednie połączenie torami z blokiem 910 MW – to jest naprawdę rzut beretem, około 4 kilometrów. Co więcej, nie musimy płacić za przewóz węgla, bo to są nasze wewnętrzne tory. Ta niewielka odległość jest tym czynnikiem, który najmocniej przemawia za tym, aby zrealizować tę inwestycję.

> NIE MA JUŻ SZKÓŁ GÓRNICZYCH I NIE MA STUDENTÓW CHĘTNYCH, ŻEBY STUDIOWAĆ GÓRNICTWO. W PRZYSZŁOŚCI MOŻEMY NIE MIEĆ KADR.

Ponadto eksploatacja szybu „Grzegorz" będzie odbywać się poza terenem zurbanizowanym, pod

eprasa.pl ec2e027efa

lasem, więc nie będziemy nikomu zagrażać. Tamtejsze złoża mamy wydobywać do 2049 roku, ale mając tak długą koncesję, możemy to robić spokojnie do 2063 roku. I ten węgiel jest naprawdę bardzo dobrej jakości. Dzisiaj szyb „Grzegorz" mamy już wybity na 500 metrów, więc jeszcze zostało dużo roboty: trzeba rozjechać ściany, porobić całą infrastrukturę dołową z klatką zjazdową i tym podobne. To dzieje się cały czas, dlatego myślimy i taką mamy nadzieję, że już nikomu nie strzeli do głowy, aby zatrzymać ten proces.

– Świat idzie do przodu, pojawiają się nowe technologie. Ten postęp widać także w polskim górnictwie czy panuje tu zastój, jeśli chodzi o inwestycje w sprzęt, badania i rozwój? Jak praca górnika zmieniła w ciągu ostatnich dekad i czy nadal się zmienia?

– Ależ oczywiście. Świat się zmienia i my tak samo. Pamiętam, jak przyjmowałem się do kopalni w 1989 roku. Wtedy pracowałem przez około 9 lat na powierzchni jako elektromonter, a potem przeniosłem się pod ziemię. Teraz jak zjeżdżam na dół, to urządzenia są całkowicie inne. Wszystko jest skomputeryzowane, zaczyna wchodzić sztuczna inteligencja, więc ten postęp widać i to daje ludziom też większe bezpieczeństwo. Tak samo mamy całkiem inny przewóz materiałów. Jak kiedyś transport odbywał się kołowrotami i była do tego zaangażowana chmara ludzi, tak teraz wystarczą dwie osoby, które kolejką podwieszaną mogą ten transport wykonać w czasie o wiele krótszym i na większe odległości. Mamy w Polsce naprawdę światowe firmy okołogórnicze, które eksportują sprzęt do Kazachstanu, Chin, a swego czasu też na Ukrainę.

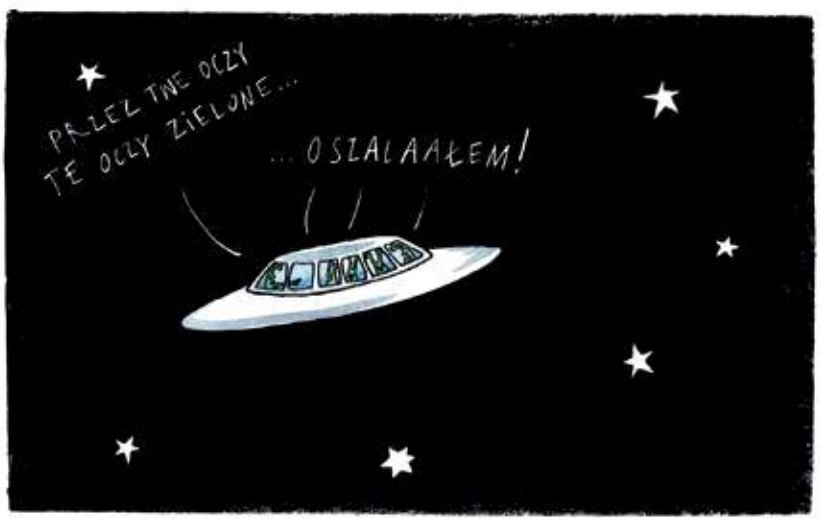
> CHYBA ZMIENIA SIĘ COŚ W MENTALNOŚCI, BO OKAZAŁO SIĘ, ŻE NAJPRAWDOPODOBNIEJ BLOKI WĘGLOWE 200 MW BĘDĄ REMONTOWANE I BĘDĄ MIAŁY WYDŁUŻONĄ ŻYWOTNOŚĆ.

– Jak wyglądają dzisiaj relacje pomiędzy Solidarnością a właścicielem „Sobieskiego"? Są Państwo w trakcie jakichś negocjacji, istnieje ryzyko zwolnień lub zawieszenie świadczeń, jak niedawno w JSW?

– U nas na szczęście nie ma takich problemów. Oczywiście wszedł pakiet osłonowy, czyli urlopy górnicze i jednorazowe odprawy, ale odejścia są znikome. Przyjmujemy też ludzi z innych kopalń. Na przykład wczoraj dołączyła do nas spora grupa pracowników ze zlikwidowanej na początku roku kopalni „Bobrek" z Bytomia.

To, co nas martwi, to tylko ten czarny PR wokół górnictwa. Nie ma już szkół górniczych i nie ma studentów chętnych, żeby studiować górnictwo. I z tym możemy w przyszłości się mierzyć, że nie będziemy mieli kadr, które zastąpią górników odchodzących na emeryturę. S

ZENEK **MICHALSKI**



eprasa.pl ec2e027efa

PRAWO

Znikająca paczka

Zamówiłem w internecie sprzęt elektroniczny. Kurier przyjechał, kiedy byłem w pracy. Zamiast zostawić informację o swojej wizycie albo skontaktować się ze mną, położył paczkę pod drzwiami mieszkania i zrobił zdjęcie jako potwierdzenie doręczenia. Gdy wróciłem do domu, przesyłki już nie było. Sprzedawca twierdzi, że **to nie jego problem**, bo paczka została doręczona. Firma kurierska odsyła mnie do sklepu. Czy naprawdę zostałem z tym sam?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W PRZYPADKU ZAKUPÓW INTERNETOWYCH kluczowe znaczenie ma to, kiedy następuje przejście odpowiedzialności za towar. Zgodnie z przepisami prawa konsumenckiego ryzyko przypadkowej utraty lub uszkodzenia rzeczy przechodzi na kupującego dopiero w chwili jej wydania. W praktyce oznacza to moment faktycznego objęcia przesyłki w posiadanie przez konsumenta albo osobę przez niego wskazaną. Samo pozostawienie paczki pod drzwiami, bez zgody odbiorcy, co do zasady nie spełnia tego warunku. Jeżeli więc kurier samodzielnie zdecydował się na takie rozwiązanie, trudno uznać, że doszło do prawidłowego doręczenia. W relacji z konsumentem sprzedawca odpowiada za dostarczenie towaru w sposób prawidłowy. To on wybiera przewoźnika i zawiera z nim umowę o przewóz, dlatego ewentualne nieprawidłowości w doręczeniu obciążają w pierwszej kolejności właśnie sprzedawcę. Z punktu widzenia kupującego nie ma większego znaczenia, czy błąd popełnił kurier, czy firma logistyczna. Konsument może złożyć reklamację do sprzedawcy i domagać się ponownego wysłania towaru albo zwrotu pieniędzy. Dopiero później sprzedawca może dochodzić swoich roszczeń wobec firmy kurierskiej na podstawie łączącej ich umowy.

Inaczej może wyglądać sytuacja, gdy kupujący sam wyraził zgodę na pozostawienie paczki w określonym miejscu, na przykład w skrzynce na listy, u sąsiada albo właśnie pod drzwiami. W wielu systemach doręczeń można zaznaczyć taką opcję w aplikacji lub w wiadomości od przewoźnika. Wtedy przyjmuje się, że odbiorca zaakceptował taki sposób dostawy i przejął ryzyko związane z ewentualną utratą przesyłki. W sporach tego typu znaczenie mają więc szczegóły, to jest treść regulaminu dostawy, komunikaty wysyłane przez firmę kurierską oraz to, czy odbiorca faktycznie wyraził zgodę na tzw. doręczenie bez podpisu. W praktyce pierwszym krokiem powinno być złożenie reklamacji do sprzedawcy i opisanie okoliczności doręczenia. Warto zachować korespondencję z kurierem, zdjęcia pozostawionej paczki czy historię przesyłki w systemie śledzenia. Jeżeli sprzedawca odmawia uznania reklamacji, konsument może skorzystać z pomocy miejskiego lub powiatowego rzecznika konsumentów, a w ostateczności dochodzić swoich praw na drodze sądowej. Na koniec wypada przypomnieć, że pozostawienie paczki pod drzwiami bez zgody odbiorcy nie musi oznaczać skutecznego doręczenia. W przypadku zakupów konsumenckich to sprzedawca ponosi odpowiedzialność za to, aby towar rzeczywiście trafił do kupującego. Jeżeli przesyłka zniknęła, zanim została przez niego odebrana, w wielu sytuacjach konsument ma podstawy domagać się ponownego dostarczenia towaru albo zwrotu zapłaconej kwoty.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl ec2e027efa

RYSUNEK NA KONIEC **KRYSZTOPA**



Nasi autorzy

Piotr Biegasiewicz („Anywhere..., s. 42), autor tekstów eseistycznych i literackich z pogranicza filozofii, prawa i ekonomii. Laureat wielu konkursów literackich.

Ferdynand Fodder (Bardzo..., s. 6), we własnej opinii „człowiek czuły i umiarkowany. Wszystkie żarty to żarty, cała reszta to eksperyment społeczny". Mikroblogger aktywny głównie na platformie X (jako@OldGamesAmirite). Dla nas pisze od 2026 roku.

Zbigniew Herbert (Pojedynki..., s. 22), gigant polskiej poezji i eseju. Od lat 60. stale typowany do Nagrody Nobla (której nigdy niestety nie dostał). Jego „Pan Cogito", „Raport z oblężonego Miasta" czy „Potęga smaku" należą do absolutnego kanonu polskiej literatury. W III RP związany na stałe tylko z jedną redakcją – „Tygodnikiem Solidarność". Zmarł w 1998 roku.

Sławomir Jastrzębowski (Kto choruje..., s. 38), był w przeszłości redaktorem naczelnym „Super Expressu" oraz właścicielem portalu Salon24.pl. Od 2022 r. prowadzi (w duecie z Rafałem Wosiem) autorski program „Lewy z Bicepsem" – obecnie emitowany na antenie TV Republika. W 2018 r. opublikował swoją debiutancką powieść „Toksyna". Jego dewiza brzmi: „Gdy nie wiesz, co robić, zrób biceps (dla Polski)".

Monika Małkowska (Kult ciała..., s. 58), jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Marek Nowak (Wojna..., s. 46), publicysta i scenarzysta. Jego najnowszy film to „Intersection".

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

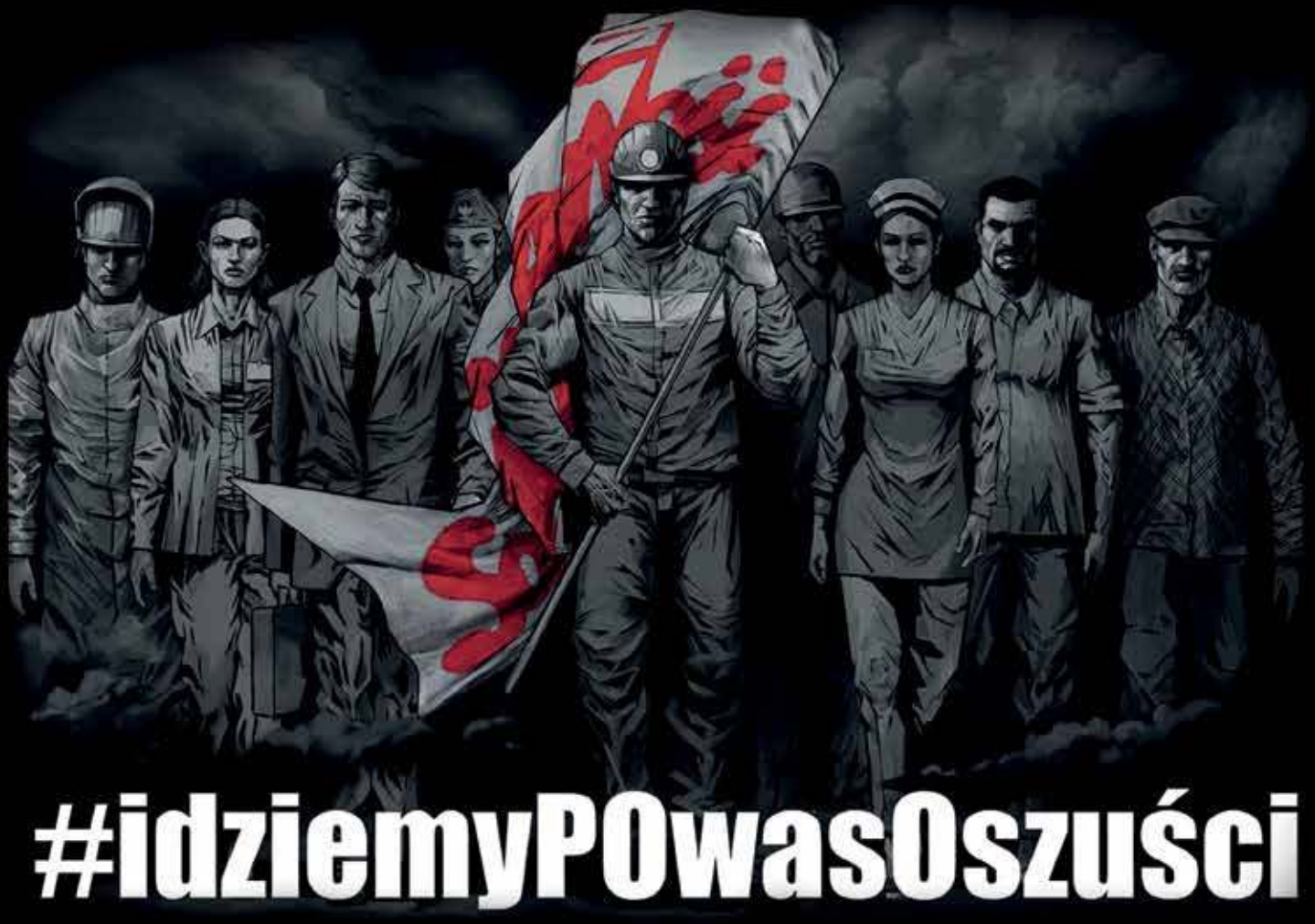
Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl ec2e027efa



#idziemyPOwasOszuści

OGÓLNOPOLSKA AKCJA PROTESTACYJNA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności

Kongres Pracy 2026

CZŁOWIEK NA PIERWSZYM MIEJSCU



Historyczna Sala BHP Stoczni Gdańskiej

22 kwietnia 2026

godz. 12.30

Zarejestruj się na wydarzenie.
Liczba miejsc ograniczona

PATRON HONOROWY

KPRP
Patronat Kancelarii Prezydenta RP

NSZZ Solidarność

PARTNER GŁÓWNY

NBP
NARODOWY BANK POLSKI

ORGANIZATOR

Fundacja Promocji Solidarności

PARTNERZY

DOMS

PATRONI MEDIALNI

TYGODNIK Solidarność

tysol.pl

Republika

wPolsce24

Radio Gdańsk

trojmiasto.pl

TRWAM

eprasa.pl ec2e027efa